Nr. 5. Lwów, dnia 1. Maja 1882 Rok V.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

SPRAWY GALIC. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Dnia 14 Kwietnia b. r. odbyło się posiedzenie Wydziału gal. Tow. łow. Przewodniczył Exc. hr. Włodzimierz Dzieduszycki. Obecni: Dr. Michał Gnoiński, wiceprezes Tow. łow., członkowie: Łoziński Józef, Rieger Władysław, Dr. Roiński Emanuel, Zontak Władysław.

Wydział poświęca rzewne wspomnienie członkowi swemu hr. Edwardowi Fredrze, zmarłemu w roku ubiegłym.

W sprawie utworzenia katedry nauki łowiectwa w Szkole lasowej lwowskiej wyjaśnia Przewodniczący jako kurator tejże Szkoły, że katedra ta jest na Etacie, że docentura nauki łowiectwa jedynie z powodu braku ukwalifikowanego na tę posadę kandydata dotąd obsadzoną być nie mogła. Postanowiono wnieść umotywowane przedłożenie tej sprawy do Wys. Kuratoryi Szkoły lasowej.

Przyjęto z zadowoleniem sprawozdanie budżetowe z roku 1881, na mocy którego stan finansowy okazał się wcale pomyślnym. Ponieważ niektórzy członkowie czy to w roku ubiegłym, czy w bieżącym odbierali i odbierają „Łowca“ nie wpłaciwszy rocznej wkładki, uchwalono przesłać im przypomnienie i ostateczne wezwanie do uiszczenia należytości.

Postanowiono wnieść podanie do Świetnego Magistratu m. Lwowa, aby na rogatkach w takim tylko razie zwierzyna była przepuszczaną, jeżeli właściciel jej wykaże się upoważnieniem.

W sprawie wniesionej przez Przewodniczącego wydawnictwa kalendarza myśliwskiego, uchwalono zwołać zebranie, złożone z leśników, myśliwych i hodowców ryb, iżby wskazówki przewodnie wszystkich tych trzech działów w kalendarzu umieszczone być mogły. Polecono Redakcyi „Łowca“ porozumieć się z Prezesem Tow. rybackiego w Krakowie Drem M. Nowickim, wezwać Tow. rybackie do udziału w tem wydawnictwie i zaprosić na zwołać się mające zebranie sz. Prezesa lub delegata tegoż Towarzystwa.

Termin zwołania Walnego zgromadzenia Tow. łow. oznaczony na czas obrad sejmowych w roku bieżącym.

Zatwierdzono odpowiedź wniesioną w imieniu Wydziału Tow. łow. do Wys. c. k. Namiestnictwa na zapytanie tejże Władzy, czy ma udzielić pozwolenie na wybicie jałowych kóz.

Uchwalono przesłać Wmu Juljuszowi Kossakowi za bezinteresowne ofiarowanie winiety dla „Łowca“ najszczersze podziękowanie w imieniu wszystkich członków Tow. łow.

Pismo hr. Stanisława Stadnickiego, donoszące o nieprawnem ubiciu zwierzyny polecono przesłać Wys. c. k. Namiestnictwu z prośbą o surowe karcenie takich przestępstw.

Postanowiono odbywać posiedzenia Wydziałowe raz na dwa miesiące.

Wpisali się w poczet członków Tow. łowieck.

Kossak Juliusz. Piniński Stan. hr. Zaleski Władysław.

ZNIKANIE NIEKTÓRYCH ZWIERZĄT

PRZEZ

Artura Janowskiego.

Najokrutniejszym niszczycielem w przyrodzie jest człowiek. Gdziekolwiek na ziemi osiedlił się i rozplenił, tam wszędzie bądź dla zaspokojenia swych potrzeb, bądź też bez żadnej widocznej potrzeby wytępiał dawniej i dotąd wytępia zwierzęta dlań użyteczne i szkodliwe, wytępia nawet takie, które mu ani pożytku, ani szkody nie przynoszą. W krajach ucywilizowanych wnet spostrzeżono zmniejszenie się liczebne zwierząt użytecznych i rozciągnięto nad niemi ochronę przez odpowiednie mniej więcej ustawy, uznano oraz za czyn niemoralny pozbawianie życia istot, które ludziom pożytku nie przynoszą, ale zarówno i szkody nie wyrządzają, gdyż pewną jest rzeczą, iż życie bez wyjątku wszystkich istot, stanowiąc pasmo działań przyrodzonych, bezpośrednio lub pośrednio przykłada się do dobra powszechnego w przyrodzie i w znaczeniu bezwzględnem nie tylko jest pożytecznem, ale nieodzownem. Obok cywilizacyi ludzkiej jednak idzie egoizm i zbytek, które wszechdobra i ustaw szanować nie zwykły, dalej idzie jeszcze zdziczenie i barbarzyństwo, w których nierównie większa część narodów i społeczności ludzkich są pogrążone, tam okrutna dłoń człowieka tępi bezwiednie, bezwględnie i bezwarunkowo to wszystko, co rusza się i żyje. Gdy pająk, krokodyl, rekin, orzeł, tygrys, są okrutnymi według praw przyrody tylko w chwilach zaspokojenia głodu; dziki i barbarzyński człowiek zabija bezmyślnie dla igraszki, szuka w tem rozkoszy, zaspokaja żądze, których ani zrozumieć, ani wyrazić nie umie, nieprzestając na tem, godzi jeszcze na życie własnego rodzaju. Wszakże z barbarzyństwa ludzkiego zrodziły się rozboje i wojny! Następstwem tych nieustannie niszczących działań, jest ustępowanie i znikanie w wielu krainach niektórych ogniw łańcucha przyrodzonego istot, zmniejszanie się liczebne i wygaśnięcie niektórych gatunków zwierząt, czego nie mało przykładów dostarczają dzieje starego lądu.

Nie wchodząc w obszerniejsze granice niniejszego przedmiotu, zanim przystąpimy do treściwego przeglądu niektórych gatunków zwierząt znikających, lub już wygasłych w Faunie Syryi, wypada przedewszystkiem dla porównania strat i przyczyn niszczących, zwrócić pobieżną uwagę na pełną wdzięków i bogatą Faunę ojczystą, która zarówno nie mało ze znamienitych swych ozdób w części pozbawioną już została, w części zaledwie ostatki od zupełnej zagłady ocalić usiłuje.

Tur, przed kilku wiekami ożywiał Faunę polską. Piękny i wspaniały ten byk był przedmiotem królewskich łowów. Dowiadujemy się z historyi, kiedy ostatni tur zginął, rogi jego odnajdują niekiedy w łonie ziemi. Wygasł bezpowrotnie, pozostawiając ku pamięci imię swoje niektórym wioskom, osadom i ostępom leśnym: Tur, Turowa, Turzec, Turza, Turowiec itp. Żubr, zamieszkujący wyłącznie Białowieską puszczę, bliskim jest zupełnego wytępienia. Pełna wdzięku ozdoba litewskiego zwierzostanu zdaje się zapytywać puszczę, ażeli ostatnią jej drużynę, zaledwie z kilkuset osobników złożoną, zdoła ocalić w ten czas, gdy drzewostany do reszty będą spustoszone, bagna leśne osuszone i zmienią się warunki przyrodzone, pod jakimi gatunek ten znajduje racyę swojego bytu? Niestety! już nawet echo nieodpowiada, zdaje się, iż nikną oboje, puszcza i jej mieszkańcy! Bóbr, niezbyt jeszcze dawno prawie na wszystkich rzekach polskich a szczególnie w Litwie, znajdował się w znacznej liczbie i dostarczał handlowi miękkich swych futer, stroju *(Castoreum)*, a nawet mięsa. Lesiste brzegi Dźwiny, Prypeci, Niemna z dopływami Wilja, Hańcza i Bobrza, Bugu i Narwi z dopływami: Orzyc i Omulew, zamieszkane były przez znaczną liczbę bobrów. Tępiono je wszędzie, a nawet daniny królewskie w skórach bobrowych składano. Najzawziętszymi jednak tępicielami bobrów w Polsce byli księża, aptekarze i żydzi. Któż z nas starych pogrobowców nieprzypomni z czasów swej młodości plebanów i kanoników w bobrowych czapkach! Aptekarze płacili do 30 talarów za strój z jednego bobra, żydkowie zaś, którzy swoją karjerę rozpoczynali często od handlu różnemi skórkami, chciwie biegali za wieśniakiem, zachęcając go talarami do łowów na bobry. Teraz bóbr wygasł prawie wszędzie, pojawy jego w powiatach Pińskim i Możyrskim są już bardzo rzadkie, w innych okolicach Litwy, a tem bardziej Polski, stanowią istny fenomen. Pozostały tylko imiona i nazwy: Bóbr, Bobrowski, Bobrownicki, Bobrowicz, Bobrza, Bobrowiec, Bobrków, Bobrek itp., wzięte zaiste na pamiątkę od tych pięknych i pożytecznych zwierząt. Żbik *(Felis catus)*, znajduje się niemniej na schyłku. Piękny ten kot, protoplasta domowego w Polsce, nie wiele go przewyższa urodą i siłą, ale więcej ma rozwinięty zmysł zachowawczy. Niegdyś zamieszkiwał licznie polskie i litewskie puszcze, wytępiony wszędzie, zalicza się do znikających już gatunków. Zwierz ten stał się źródłem przesądów i bajek, pisano o nim i teraz jeszcze piszą brednie zdolne otumanić umysły mniej oświecone, przypisywano mu przymioty przewyższające jego budowę organiczną, zrobiono go tygrysem strefy umiarkowanej. Najwięcej pisali o żbiku naturaliści, dla których przyroda jest zamkniętą księgą, oraz myśliwi, którym rozsądna ostróżność nie pozwala zbliżać się do nabitej strzelby. Rozpłomieniona ich fantazya widziała srogiego żbika rozdzierającego na raz trzy psy, rzucającego się z wysokości drzewa na ogary i wpajającego zęby i pazury w ich grzbiety, spostrzegała tego kota wydzierającego ludziom muszkuły z twarzy i szyi, szarpiącego oczy, uszy i inne części ciała! A że „strach ma wielkie oczy", nic więc dziwnego, że podniecani przerażeniem, nawoływali do wytępienia tak okrutnego potwora. Ale żbik w przyrodzie nie wiele jest strasznieszym od domowego kota i wyrządzając niejaką szkodę w zwierzostanie łownym, oddaje zarówno usługę przez tępienie szkodliwych zwierząt. Wszędzie, gdziekolwiek jeszcze znajduje się, jest tak dalece rzadkim, iż raczej za ozdobę Fauny krajowej, niż za potępieńca uważaćby go wypadało. Mała liczba żbików, które jeszcze ocalały, wielkiej szkody nawet w zwierzostanie łownym zrządzić nie może zwłaszcza, że nietylko z niego wyłącznie czerpie swe utrzymanie *). Oprócz wymienionych gatunków zwierząt, są jeszcze inne, jako to: łoś, jeleń, niedźwiedź, ryś, z ptaków zaś głuszec,

*) Inaczej charakteryzuje żbika nauka. Może niektórzy badacze i myśliwi w zbyt jaskrawych barwach określają jego drapieżność, to wszakże pewne, że należy on do rzędu najszkodliwszych zwierząt dla niższego zwierzostanu, więc podobno szan. autor od wytępienia go nie obroni. — (Przyp. Red.).

które lubo nie wygasły jeszcze, ale ustąpiły i znikły z wielu okolic Polski. Gdziekolwiek jeszcze znajdują się, tam je tylko sumienna ochrona i ustawy od wytępienia ocalić mogą.

Fauna Syryi nie wiele posiada gatunków zwierząt wspólnych z Fauną Polski, inne zatem z niej ustępują lub już wygasły na zawsze. Obaczmy to na przykładach. Są wzmianki o tygrysie u starożytnych historyków. Herodot i Pauzanjasz, wreście Arystoteles wspominają o nim. Pliniusz pisze o nim bajeczne rzeczy. Pierwszy raz August podczas poświęcenia teatru Marcella wystawił w Cyrku tygrysa przyswojonego. — Wspominają o nim zarówno w epokach Klaudyusza, Domiciana, Antonina, Marka Aureliusza i Gordiusza III. Heliogabal kazał wozić się w Cyrku rydwanem ciągnionym przez dwa tygrysy. Nie ma jednakże pewności, czy zwierzęta wystawione w Cyrku pod imieniem tygrysa, były nim rzeczywiście? Jeżeli zaś istotnie kilka tygrysów wystawiono w Cyrku, to znowu nie ma pewności, zkąd pochodziły one? Rzymianie, którzy podczas swoich uroczystości znajdowali wielką przyjemność w krwawych igrzyskach, szukali do tego wielkich zwierząt mięsożernych wszędzie, zkądkolwiek mogli je nabyć, poświęcając na ten cel znaczne summy. Gdy zaś historycy, którzy ze szczegółową rozwlekłością piszą o tysiącach lwów i panter, zaledwie nadmieniają o tygrysie i z tych treściwych wzmianek nie można powziąć wiadomości o historyi, ani dokładnego wyobrażenia o postaci zwierzęcia, prawdopodobną zatem jest rzeczą, że albo mianowano tygrysem inne wielkie koty, której to niewłaściwości dopuszczają się także szczególnie pisarze arabscy, a nawet do dziś dnia na Wschodzie w wielu miejscach panterę nazywają tygrysem, albo też, co także jest prawdopodobnem, że tygrysy, których zaledwie kilka jest wzmiankowanych, sprowadzane były z Indyi Wschodnich. De Blainville, a więcej jeszcze M. Mougés *), wyszczególniają mniej więcej liczebnie zwierzęta użyte w Cyrku, wyczerpując te wiadomości ze źródeł rzymskich. Gdyby więc w owej epoce tygrys znajdował się w Azyi mniejszej, zkąd Rzymianie największą liczbę zwierząt sprowadzali, to w takim razie, jako okazalszy i silniejszy, a zatem cenniejszy dla Cyrku od pantery, byłby tak szczegółowo opisywany przez historyków jak lew i pantera. Juljusz Apostota niemniej świadczy, że tygrys miał się dawniej znajdować w Azyi Mniejszej, to jednak świadectwo nie może mieć powagi tem bardziej, gdy nawet starożytni naturaliści tak szczupłe i niejasne mieli wiadomości o większych gatunkach kota, że z wyjątkiem lwa i pantery, z którą bezwątpienia mięszać mogli lamparta i inne gatunki, nie rozróżniają takowych i rozróżnianie to dopełnione zostało dopiero w teraźniejszej epoce. Znajdujemy nadto niejakie wzmianki o tygrysie w dziejach wielkiej wyprawy Perskiej, a chociaż zwierz tam opisywany odróżniony jest od lwa i pantery, to znowu nie ma wiadomości przekonywających, że był tygrysem. W ogólności nie natrafiają się nigdzie pozytywne dowody, że tygrys był niegdyś mieszkańcem Azyi Mniejszej. Wyłączając zaś przypuszczenia, wątpliwości i prawdopodobieństwa, nie można również uzasadniać się na mniemaniach nie popartych dowodami. Pan de Tchihatchef **) mówi: „le tigre et la panthère ne s'y présentent que rarement“, — albo dalej: „le tigre et lion y sont encore bien plus rares“. Mówi tu o teraźniejszej obecności tygrysa. Opinię tę uważając jako więcej już ryzykowną, zwrócić się raczej należy do tych pojęć o geograficznej granicy, w jakiej żyje teraz i bezwątpienia żył dawniej tygrys, jaką przy krytycznem uwzględnieniu postrzeżeń i wiadomości wszystkich autorów ze wszystkich epok, oznaczyli: De Lacepède, Fr. Cuvier, itd. Ojczyzną tego kota są: Bengal, Malabar, Siam, Touquin, Sumatra, kraje południowej Azyi, położone za Indem i rozciągające się na północ w granice Mongolii i Chin, Kochinchina. Nareszcie zastanawiając się nad tem pytaniem przy nadarzonych sposobnościach niejednokrotnie, przyszedłem do rezultatu, który tu zapisuję, nieuważając go jednak za nieomylny. Jest pewnem, że zwierzostan roślinożerny Azyi Mniejszej nigdy nie mógł być i dziś nie jest tak obfity w gatunki i liczby, jak tenże zwierzostan owych krajów, gdzie niepoliczone stada różnych gatunków antilop i lam dostarczają tygrysom dostatecznego pożywienia. Ważniejsza jednak, że nigdzie prawie w Azyi Mniejszej nie ma takiej natury miejscowości, jaką obiera tygrys na ulubiony i wyłączny swój pobyt w Indyach, Siamie, Kochinchinie, gdzie zarówno w odmiennych i mniej sprzyjających mu miejscowościach nigdy się nie pojawia. Zauważył to samo także niewątpliwy kompetent, jeden z pierwszych myśliwych i strzelców angielskich Sir Pollard, pułkownik generalnego sztabu armii Indyjskiej, obeznany zarówno ze zwierzostanem i polowaniem w Azyi Mniejszej, z którym polując często przez rok przeszło miałem sposobność niektóre wątpliwości naukowe badać i wyjaśniać. W ogólności, tygrys żyje w najgorętszej strefie owych krajów i jest wszędzie mniejwięcej rzadki. Potrzeba pożywienia skłania go niekiedy do podróży za stadami antilop, które nie w kierunku szerokości, ale w kierunku długości geograficznej, to jest ku północy, posuwają się za roślinnością, gdyt akowa w porze gorącej wypaloną zostaje na południu. Znosi on wtenczas strefy umiarkowaną, a nawet zimną, ale ich nie lubi i powraca zwykle przed zimą do ojczyzny, towarzysząc nieustannie w pewnej odległości antilopom. Jeżeli zaś przed powrotem zaskoczą go silniejsze zimna, wtenczas staje się zwykle ofiarą spóźnionej pory, gdyż zimno pozbawia go zwykłej ruchliwości i energii, czyni go ociężałym i ospałym i wtenczas tylko ubijanym bywa z większą łatwością. Bywały zdarzenia ubicia tygrysa w krajach nad Amurem Dauryi i Mandżuryi, w czem interesujące wiadomości podaje pełen zasługi i światła nasz naturalista pan Antoni Wałecki, który długo owe kraje zamieszkiwał. Z tego, co poprzedza, zbyteczną byłoby rzeczą mówić o zniknięciu tygrysa z Syryi i Azyi Mniejszej, który tu więcej już prawdopodobnie nigdy nie znajdował się. Jeżeli Rzymianie rajskiej rzece nadali imię Tigris, mylnie narzucane panterom i lampartom, to nie może stanowić dowodu, że tygrys znajdował się niegdyś, a tem mniej, iż dziś jeszcze znajduje się w Kurdystanie i Mezopotamii.

O ile są watpliwe i niepouczające wzmianki o tygrysie u starożytnych pisarzy, o tyle znowu z całą pewnością opisują oni lwa. *Lais* i *Azi* lew i *Labi* lwica, znane Hebrajczykom, zamieszkiwały niegdyś Liban. W Syryi, Mezopotanii, oraz niektórych krainach Azyi Mniejszej, a szczególnie w granicącej ze Syryą Cylicyi lew był szeroko rozpowszechniony. Szczególnie Syrya posiadała własną rasę lwa. Pismo święte, Appian, Appoloniusz de Tyane, Elien, wielu oraz innych starożytnych pisarzy mówi o tem. Pliniusz opisując go powiada, że był czarny, podobnie jak lew rasy indyjskiej opisany przez Aristotelesa i Eliena. O lwie syryjskim znajdują się wzmianki i opisy u pisarzy perskich i arabskich, a potem greckich i rzymskich. Wreszcie starożytne sztuki, rzeźba i snycerstwo, zostawiły dowody na posągach, pomnikach, sarkofagach i tym podobnych przedmiotach, jak dalece lew był znanym w Syryi. Uwieczniwszy pamięć o sobie w dziełach sztuki i umysłu ludz-

*) M. Mouges.— Dans des memoires de l'academie des inscriptions et belles lettres. Tom X. 1833.

**) P. de Tchihatchef. — Une page sur l'Orient — IV. 163—164.

kiego, lew Syryjski wygasł w Syryi bezpowrotnie. Nadaremnie piszą jeszcze niektórzy o jego pojawieniu się niekiedy w Azyi Mniejszej, skoro w łańcuchach Tauru i Anti-Tauru, które były stolicą lwów Azyi Mniejszej, nie ma go już z pewnością, tem mniej pojawiać się może w prowincyach ku zachodowi i północy tych gór położonych. Udowodniono przytem przez wszystkich późniejszych i nowoczesnych naturalistów, że lew ustąpił naprzód z półwyspu helleńskiego, a później ustępował kolejno z półwyspu Anatolskiego i Syryi. Ustąpienie z Syryi lwa ma rzeczywiste przyczyny. Wielu zastanawiało się nad niemi, lecz nie wszystkie poglądy i zdania są między sobą zgodne. P. de Tchihatchef*) ustępowanie, a nareszcie zniknięcie lwa z owych krain przypisuje ich wyludnieniu, zaczem nastąpić musiało zmniejszenie się liczby zwierząt domowych, z których lew pobierał część swojej żywności, jak niemniej wyniszczeniu lasów. Oto jest jego pogląd: „Quand on considère le singulier mouvement rétrograde, que depuis tant de siècles cet animal n'a cessé d'effectuer, en evacuant successivement les peninsules hellenique et anatolique ainsi que la Syrie, et en devenant de plus en plus rare dans les pays traversés par le Tigre et l'Euphrate, on se rend d'autant moins compte de ce fait, que ces mêmes contrées subissaient un immense décroissement de leur population, et qu'ainsi la disparition de l'homme, dont la présence est incompatible avec celle des bêtes fauves, loin d'avoir ramené ces dernières vers le terrain, qu'il semblait leur abandonner, parait au contraire les avoir determinées à imiter la rétraite de leur ennemi et à réfuser son héritage. Parmis les motifs les moins plausibles qu'on pourrait alleguer pour expliquer ce phénomène, figurait sans doute l'influence d'un prétendu abaissement de température; car indépendamment du peu de fondement, que présenterait une semblable hypothèse, elle n'aurait même pas le résultat desiré, puisque le lion supporte impunement des températures très-basses. Ainsi, Aucher-Eloy à constaté la présence de cet animal dans la region des neiges éternelles du mont Zerdakou; de même selon Mr. de Hammer, lorsque Houlaghou, fondateur de la dynastie mongole en Perse, organisa en plein hiver une grande chasse sur le plateau glacial situé entre l'Oxus et la ville de Balk, il n'y tua pas moins de dix lions. Enfin, une lettre interéssante adressée à Alexandre de Humboldt par M. Gérard, le celèbre chasseur de lions en Algérie, nous fournit une nouvelle preuve de la basse température, que supportent ces animaux sans inconvenient. M. Gérard y dit, que les montagnes Aurès les plus hautes de l'Algérie, se trouvent constamment habitées par quelques lions de manière que, bien qu'ils descendent un peu en hiver, leur station hivernale est encore assez élevée et couverte de neige pendant plusieurs mois. Le minimum du froid y atteint 10 degrès centigrades au dessous de zero, aussi lorsque les lions quittent les grandes hauteurs, c'est moins à cause du froid, qu'à cause des neiges qui paralysent leurs mouvements. En somme, selon M. Gérard, le lion supporte bien mieux l'excès du froid, que celui de la chaleur, et il pourrait habiter des endroits beaucoup plus froids que l'Algérie, pourvu qu'il y trouvât suffisamment des troupeaux et des forêts. Cette dernière observation d'un juge si compétent en pareille matière est parfaitement applicable à l'Asie Mineure, et elle expliquerait mieux que toute autre hypothèse la disparition du lion dans les contrées précedemment mentionnées. Bien plus, si le deboisement successif de l'Asie Mineure n'etait pas constaté par des temoignages historiques, ce fait le demontrerait à lui seul; d'un autre côté. les preuves abondent pour admettre l'enorme decroissement de la population, et par consequent des animaux domestiques dans toutes les contrées habitées jadis par le lion".

*) P. de Tchihatchef. — Une page sur l'Orient. — IV. 165—169.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ciąg słonek wiosennych w roku 1882.

PRZEZ

Kazimierza hr. Wodzickiego.

Jak uśmiech kobiety jeden do drugiego, jak obłoczek do obłoczka, jak listek do listka, tak ciąg słonek niepodobny jeden do drugiego. Przez lat 40 zapisywałem zjawiska w czasie ciągu, zagadkowe wyjątki, zmiany nie do wytłumaczenia, z tych notatek wytworzyła się mglista całość, zaciekawiająca myśliwego, z promieniami prawdy, z tem wszakże przekonaniem, że przyroda nawet swym ulubieńcom zasłony w zupełności nie odkrywa. „Im głębiej w las, tem więcej drzew", im głębiej w badania się zaciekamy, tem trudniej wysnuć z wątka myśli pewniki na korzyść myśliwstwa. W czasie tegorocznej, wyjątkowej wiosny, istnej polskiej kapryśnicy, zmiennej w uczuciu ciepła i w humorze, ciąg słonek pozostawił zagadkowe wspomnienia, zaciekawił umysł, parł do badań, nie dozwolił jednak w całym szeregu lat badań wykazać podobnego sobie. W połowie Marca dobroczynne słońce usunęło białą zimową szatę, pomimo małej ilości śniegu wody rwały gwałtownie ziemię, poczem zawyły uragany wisielców, nie dozwalające lotnym mieszkańcom naszego kraju najmniejszego ruchu, i wysuszyły ziemię jakby czarodziejskiem skinieniem. Temperatura dochodziła w dzień do 21° ciepła, w Kwietniu zaś ziębiły nas dwa czy trzy razy 4 do 7 stopniowe mrozy tak, iż pod dachem musieliśmy szukać schronienia. Jakie zaś wędrowne nasze ptaszęta lamentacye wyspiewywać musiały pod horyzontu błękitem, walcząc z zimnem i z przeciwnymi kierunkowi podróży wiatrami, o tem one same tylko mogłyby nam opowiedzieć, my spostrzegliśmy w ich ciągu wielkie znużenie, krążenie w miejscu, wznoszenie się i zniżanie w locie, widoczne szukanie atmosfery, ułatwiającej dalszą wędrówkę. Nie pamiętam roku, w którymby skowronki do nas parami przyleciały, odbywszy w tej przedwczesnej wiośnie zaręczyny za granicą, pomimo mrozów i śniegu pozostały razem, nie zbijając się w stada. Również nie pamiętam tak skąpego ciągu gęsi i żórawi, w końcu muszę wyznać, że do czasu Świąt wielkanocnych trzy tylko pojedyńcze bociany spostrzegłem. Nie kreślę traktatu ornitologicznego, więc o innych gatunkach ptaków wspominać nie mogę, w każdym wszakże były wyjątkowe odmiany i zagadkowe zjawiska. Pierwsze dwie słonki zapadły w lesie, lecz nie w parce, 17 Marca, od tego dnia do 1 Kwietnia przeszukiwano w każdym dniu ulubione słonek mioty, znane nam od wielu lat. W wszystkich rewirach sadzę drzewka na zrębach,

o godzinie 5ej leśniczowie z chłopaczkami przeganiają mioty, i zostają na ciągu, rozstawiwszy gajowych po krzyżowych liniach; nie można więc przypuścić, iżby nas ciąg jaki mógł zmylić lub przekraść się przez moje lasy. Dnia 22go Marca było na przestrzeni 1100 morgów pojedyńczo rozrzuconych 9 słonek, 23go 4 w lesie 700-morgowym. Dnia 30 Marca, 3°, 8°, Kwietnia spotykaliśmy po 3, 4 do 7 słonek. W czasie trwania ciągu widzieliśmy jedną zaręczoną parkę, inne jakby mniszki siedziały samotnie, widocznie bez płciowych popędów, myślące jedynie o żołądku, co ujawniało się w zawalanych, długich dziobach. Wątpliwości nie podlegają szlaki i drogi, służące do wędrówek, jakoby bite gościńce, jednak wiatry wywierają przeważny wpływ na kierunek ciągu, zmuszając wędrowców do zmiany dróg i omijania gór. Również żer wpływa na zmianę kierunku, na wytknięte od dawna stacye i dniówki. W tym roku wichry wychodzące od bieguna i jego lodowców, również zimna zachodnie, w końcu wysuszona w lasach ziemia z nocnymi przymrozkami, zmuszającymi świat owadów do letargowego snu, są przeważnie powodami zmiany kierunku wędrówek. Najczęściej wędrują ptaki wzdłuż łożysk rzek, jeżeli wiatry lotu ich nie hamują, często jednak zmuszają wyżej wymienione przyczyny wędrowców do nużących zmian i przedłużenia podróży o kilkadziesiąt i kilkaset mil. Słonka, jak wiadomo, nie znosi ciepła, szuka chłodu i wilgoci, potrzebuje nieustannie wody do gaszenia pragnienia, spowodowanego pożywieniem, i do kąpieli, której używa po kilka razy na dobę, kąpiąc się w dzień i w nocy gdyby syrena. Otóż według mego przekonania główne ciągi pominęły nasz kraj, musiały okolić góry, i po długiej, męczącej podróży dosięgły górskiej, północnej ojczyzny letniej. Zebrawszy wiele notatek z dzieł i czasopism, z wykazów myśliwskich i udzielanych mi wiadomości, powziąłem przekonanie, że dosyć znaczna ilość słonek zimuje w Europie południowej, podczas łagodnych zim w różnych lasach Niemiec z cieplicami nie zamarzniętemi. Horn w swych pamiętnikach wskazuje wielką liczbę miejscowości nad Renem, do których się udawał w zimowych miesiącach w celu strzelania do słonek. Sam przypominam sobie dzień 14 Grudnia, w którym ruszyłem 12 słonek, a w roku 1881 po mrozach i śniegach zapadały znaczne stadka słonek w nadrzeczne wikliny, i nieraz na śniegu strzelałem słonki przy zającach. Wielu znajomych polowało na te ptaki po błotach pontyńskich, w naddunajskich prowincyach i na greckich wyspach. Owe to słonki przylatują do nas przedwcześnie pojedyńczo lub po kilka razem, przezimowawszy na kontynencie. Ciągi z za morza azyatyckie są liczne, pojawiające się u nas nie w każdym roku na wiosnę, często wędrujące z pospiechem, ledwie popasające, wyjątkowo tylko pozostające u nas przez dłuższy czas, wstrzymane wiatrami, znużeniem i obfitym żerem. W ciągu mego życia myśliwskiego przypominam sobie cztery takie ciągi. Z tych to przyczyn policya śledząca ciąg musi być dobrze zorganizowaną, aby wiedziała o ruchu ptaków i abyśmy mogli mieć dziesięcinę z tych szwedzkich wędrowców. Jako przykład przytoczę rok 1865, w którym liczne stado słonek zapadło w krzakach 17go Marca, 18° wystrzelałem w dwóch miotach 34 ładunków, posłałem po nie do domu, a gdym się pragnął zemścić na tych zręcznych lotnych stworzeniach, nie znalazłam 20go już ani jednej. W roku 1880 liczny ciąg nader małych słonek spoczął u mnie w pierwszych dniach Kwietnia, przedziesiątkowałem je, Wielkanoc przerwała prześladowanie, po Świętach już ich nie było. Pamiętny mi rok, w którym uroki na nas padły i wszyscy po studencku pudłowaliśmy, nazajutrz objuczeni amunicyą ruszyliśmy w krzaki, wczoraj przepełnione słonkami, i zastaliśmy tylko pięć pewnie zbarczonych. — Nie ma wątpliwości, iż słonki tak jak inne ptaki mają obmyślane od dawnych lat stacye wypoczynku, niepojawianie się jednak słonek na znacznych przestrzeniach niezbyt suchych, przypisuję brakowi kontroli t. j. przepuszczaniu ich. Nader liczne lata wykazują mi brak ciągu, nie zniechęca mnie to jednak wcale do szpiegowania słonek, gdyż szukają się one wzajemnie i odbywają spacery za żerem nawet po kilka mil, więc przylatują do nas z sąsiedzkich lasów, szukanie ich zatem zawsze się wypłaca.

Pojedyńcze słonki przyleciawszy do nas w połowie Marca t. r. nie odleciały pomimo mrozów i śniegu, było ich 41, wystrzelaliśmy 37, cztery zaś rozrzucone na znacznych przestrzeniach pojawiają się i teraz. Czy te słonki byłyby się gnieździły u nas, czyli też zimne północne i wschodnie bez przerwy trwające wiatry przerwały wędrówkę, orzec nie umiem, cytuję więc tylko ów fakt ciekawy. Słonka jest nader rozumnym i ostrożnym ptakiem, gdy siądzie, spostrzeże najmniejszy ruch, i łatwiej oszukać rogacza swą nieruchomą postacią, jak duże, wypukłe oczy z bystrym wzrokiem słonki. Gdy kilkakrotnie goniona przy wykrzykach *tire haut!* (u gminu tyro) i strzelana, to tak wybornie pozna grożące jej niebezpieczeństwo, że świdruje pod niebiosy i często zapada dopiero w 4ym lub 5ym miocie. Zdarzało mi się nieraz widzieć słonki ulatujące w pole w obec namiętnych krzyków gońców. Przypominam sobie liczne słonki niefortunnymi strzałami tak popłoszone i nauczone, że leciały w pole i siadały na skibach, a gdy na roli kazałem ku lasowi gonić, leciały dalej w pole i znikały nam, a żadna nie wróciła do lasu.

Tegoroczny ciąg nie tylko jest wyjątkowym odnośnie do pojedyńczych słonek, zatrzymania się ich na miejscu mimo srogiego prześladowania, ale wyjątkowem jest także ich zamieszkanie. I tak zapadają słonki w gajach, okrajkach lasów, na pastwiskach krzakami zarosłych, na których po zbiorze siana wieśniacy pasą do mrozów i śniegów, unikają zaś głębokich lasów, w tym roku przeciwnie zapadały w zwartych lasach. Jeden z moich sąsiadów naliczył jednego wieczora 22 słonek, u drugiego słyszałem raz plutonowy ogień na ciągu. Obliczanie ciągnących słonek jest nader łudzące, krążą one bowiem w ulubionych miejscowościach kilkakrotnie szepcąc i chrapiąc, szczególnie samce, i nieraz mamy prawie pewność ruszenia nagónką kilkunastu słonek, a pojawi się ich ledwie kilka. Samiec chrapie w locie, ona zaś szepce, najczęściej on za nią leci, ale to mamiące, bo w rodzie słonek, jak w naszym, bywają natrętne i nienasycone samiczki, goniące samców, strzelając więc do drugiego ptaka zabija się często samicę, zawsze jednak chrapiące słonki są samce, szepcące samice, czyż to mili czytelnicy nie tak, jak u ludzi?

Przeciętnie licząc zapisane ciągi, oznaczyć mogę ich termin od ostatnich dni Marca do 14 Kwietnia, wyjątkowo tylko w połowie Marca. Przypominam sobie rok wyjątkowy z ciągiem wrytym w mej pamięci, nader spóźnionym, a wielce rozkosznym, już na zielonym lesie, śród brzóz z liściami i koncertu leśnych wirtuozów, lecz to spostrzeżenie raz mi się tylko wydarzyło. W dziełach myśliwskich wykazane są zniesienia w końcu Marca w Niemczech, a nad Renem znaleziono jaja pod samiczką 16 Marca, co jasno dowodzi wiele wcześniejszy ciąg w tamtych krajach. Ja w okolicach przezemnie zamieszkiwanych znajdowałem najwcześniej 9 Kwietnia, a najczęściej od 15 do końca Kwietnia. Przypominam sobie sprytnego naganiacza z rysim wzrokiem, który upatrzył słonkę siedzącą śród korzeni graba, uderzył ją patykiem i zabił, miała 4 jaja jak zawsze mocno zasiedziałe. Ilość samców u słonek można

jedynie porównać z samcami u zajęcy, z tej przyczyny toczą się w powietrzu i na ziemi zacięte walki, często widujemy 4 do 5 uganiających samców za jedną samiczką, dalej chrapiące i wolno ciągnące ptaki, szukające i wołające wieczorami i rankami, niestety bezowocnie, oni to przydłużają ciąg na wiosnę, nie tracąc nadziei. Przypominały mi zawsze te tęskniące samce konkurujących kawalerów, nigdy nie znużonych, nie zniechęconych odkoszami.

Nie tylko dla myśliwego, ale też dla badacza ornitologa jest słonka nader interesującą w swych zwyczajach, w niepospolicie rozwiniętych władzach umysłowych. Niestety nader to trudny ptak do badania pod baldachimem niedostępnych i tajemniczych gęstwin. Jedynie wieczorami i przy wschodzie słońca, w suchych lasach przy jeziorkach i kałużach można do syta widokiem się jego nacieszyć, przekonać się o gwałtownych namiętnościach, porywczości i gotowości do boju tego ptaka. Dziś mroźny północny wiatr, w nocy ścięta woda, więc może być, że ptaki przez nas oczekiwane pozostają za górami w zaciszach, i później przylecą, gdy minie polska zielona zima, o czem nie zaniedbam donieść łaskawym czytelnikom.

Olejów 12 Kwietnia 1882 r.

KILKA SŁÓW O ŁOWACH z ROKU 1881 i 1882.

NAPISAŁ

Marceli hr. Tyszkiewicz.

Jesień przeszłoroczna nie bardzo dogadzała charciarzom, ledwie raz, a najwięcej dwa razy w tygodniu można było wyruszyć w pole, mimo tego rezultat polowania był dosyć pomyślnym, bo uszczuliśmy 49 zajęcy i dwa lisy, a polowaliśmy tylko na czarnej stopie, czyli raczej do mrozów, które wcześnie zawitały. Niecierpliwie oczekiwaliśmy śniegu, aby sankami na lisa wyjechać, ale niestety nie było go tej zimy pomimo, iż kilka razy zaczynał padać i ciągle inej, ów zwiastun śniegu, był na drzewach. W pozaprzeszłej zimie uszczuliśmy 18 lisów, w przeszłej ani jednego. W ciągu całej jesieni polowałem z sąsiadem moim, panem M., i tylko jego chartami szczułem, bo mój przed polowaniem zdechł. Miałem jednak tę pociechę, że chart od niego i suki pana M., nazywany Czortem prawie wszystkie zające połapał. Oryginalnie się ten chart wyrodził, bo jest zupełnie psowym, nawet jedno ucho zarzuca naprzód, a czasem do góry stawi, i jest kosmaty, kiedy matka jego zupełnie gładka. Szukaliśmy najwięcej cztery zajęcy dziennie, poczem smycz się zawiązywał, i drogą wracaliśmy do domu, a gdy dwa razy się zdarzyło, że z drogi upatrzono zająca, nie szczuliśmy go, bo poprzednie już nam zupełną dały satysfakcyę. Wiele, bardzo wiele miłych chwil spędziłem tej jesieni, wątpię wszakże, iżby którykolwiek ze strzelców był zadowolony, gdyby w dwudziestu kilku dniach tak małą ubił ilość zwierzyny, a jednak są ludzie, którzy utrzymują, że chartami wszystko się wyłapie. Ależ moi Panowie! czyż 49 zajęcy i dwa lisy złapanych na 6000 morgach jest wiele? Wszakże ten i ów z strzelców, gdy jednego dnia zabije na 300 morgach tyle zwierzyny, będzie się żalił, że mu się polowanie nie udało, a my charciarze uszczuwszy dwa zające w jednym dniu jesteśmy uszczęśliwieni i zasiadłszy z doskonałym humorem i apetytem do stołu z ferworem rozprawiamy o naszych łowieckich sukcesach. Zresztą nie każdy lubi i może ze strzelbą polować, jedyną jego passyą myśliwską jest rwać się konno za zającem, a sankami za lisem. Sądzę, iż każdy przeciwnik charciego polowania jest raczej zawistnym myśliwym, będzie on zarówno zazdrościł strzelcowi spotkania w kniei, jak charciarzowi uszczutego zająca. Charciarzów też muszę upomnieć, aby chartów samych na pola nie puszczali, bo żadne stworzenie tyle w zwierzynie szkody nie zrobi, ile chart, gdy się zwącha z legawym lub kundlem, i na własne zęby poluje. Następnie niech końmi nie tratują posiewów, jak charty w nie za zającem pójdą, albo go złapią, to lepiej posiew objechać lub zleść z konia i pieszo odharapować. Wszak charciarstwo to rycerska zabawa, w której młodzieniec na dzielnego kawalerzystę się wyrabia, a koń najwyborniej się ujeżdża. Nie każdego stać na bigle, a mają też bigle ujemną stronę, za nimi trzeba wszędzie jechać, więc robi się wiele szkody, niejeden koń się zmarnuje, nie każda miejscowość dozwala takiego polowania, i wiele innych. Zresztą bigle tylko dla wielkich panów, a parę chartów może każdy szlachcic trzymać, i kiedy wolno, polować swobodnie, niech więc panowie strzelcy dozwolą mu używać tej prawdziwej, a tak pożytecznej rozkoszy. W całej jesieni uciekły nam tylko dwa zające, jeden poszczuty był z prawego skrzydła starym chartem, który pchnął zająca pod górę, zwaną Makutrą, podczas gdy Czort uniósł się w przeciwną stronę rolą, drugi zaś w tejże miejscowości, może nawet ten sam, znikł nam po kilku obrotach Czorta z oczów, nim zdążyliśmy na górę, i psa tylko tam spostrzegli. Góra ta nigdy nie bywa oraną, a tak jest stroma, że wprost koniem na nią wjechać nie można, zające tam doskonale uciekają. Inny zając schował się nam dwa razy do skoty, nie mówię uciekł, bo był do ostatniej chwili ślicznie przez Czorta bity. Ładne poszczucie przydarzyło się nam też 29 Września. Dzień był pogodny i chłodny, zastaliśmy w pięciu ryzach kartofli dwa zające i trzy lisy, które tak wytrzymały, że każdego zosobna szczuto. Z trzech lisów złapaliśmy dwa, trzeci z daleka wykradłszy się uciekł, i gdyby nie Swawola, kobyła *pur sang* angielska pana M., toby go były charty wcale nie widziały, dopiero po pierwszym obrocie Swawoli razem z psami wpadł w krzaki. Zabawny epizod zdarzył się także z zającem, który wraz ze smyczem uciekł. Polowaliśmy u pana W. w sześć koni. Uszczuto już trzy zające, pod wieczór, między górami, pomyka dość daleko stary kopyra. Puszczono pięcioro chartów, a my pociskamy dobrze konie. Wjeżdżając na górę widzimy, że zając wraca do nas, że tylko jeden Czort idzie za nim, i od czasu do czasu go obraca. Kot stary, pogubił resztę psów w parowach, usiłuje wymknąć się Czortowi, wychodzi to na szosę, to na ściernię, pod górę i z góry, ale chart ciągle go bije, wreszcie wpada zając przy szosie koło karczmy pod mostek. Wnet dojechaliśmy w to miejsce, ludzie też z pod karczmy

się zbiegli. Trzeba było zająca z kryjówki wydobyć, bo uczynionoby to niezawodnie po naszym odjeździe, więc pan W., na którego gruntach polowano, zrywa jedną deskę z mostka, wyciąga zająca i każe szczwaczowi go trzymać, aby mu nogi związać. Zając broni się i gryzie szczwacza w palec aż do krwi, ale on go nie puszcza. Tymczasem przynoszą z karczmy worek, wsadzają weń zająca, a pan W. poleca swemu szczwaczowi, aby go wywiózł pod wieś i puścił. Charty zostały przy nas. Że już było nad wieczorem, ruszyliśmy wolno ku domowi. Kiedy wjechaliśmy na pagórek, widzimy szczwacza pędzącego ku nam, co koń wyskoczy, a gdy się zbliżył, spostrzegamy, że pędzi za zającem, który już na kilkaset kroków od niego się odsadził. Pan W. przyzywa do siebie szczwacza, ten więc podjeżdża do nas. Rozgniewany pan W. woła: „A czegoż ty durniu pędzisz za zającem?“ — „Ja jechałem, odpowiada szczwacz, za smyczem“. Okazało się, że gdy on worek rozwiązał, zając wyskoczył z związanymi, tylnymi skokami, i jak poszedł, tak przepadł wraz ze smyczem. — Mieliśmy też małą emulacyjkę. Zakład stanął między panami M. i W. o dwie butelki szampańskiego, który z młodych chartów da pierwszy obrot zającowi. Było to przy końcu Września, Wasyl upatrzył zająca, podprowadzono charty i haiż! Chart pana W. ciągnął się cały dzień, bo pierwszy raz był na smyczu, więc gdy go spuszczono, pomknął wprost do domu, Czort zaś po dwóch obrotach chwycił zająca. Radzę przeto wcześnie przyzwyczajać młode charty do smycza. Najlepiej sworować je po parze tak, jak gończe, a jest jeszcze i ta korzyść przy sworowaniu, że charty same nie chodzą w pole, a gdy chcą uciec, łatwiej je zawrócić. Należy także charty sworować, wywodząc je na spacer, również jadąc na polowanie i wracając z niego. — Sworka robi się z cienkiego łańcuszka, długości najwięcej 24 cm. aby nie przestępowała ze sprężynkami po obu stronach do obróżek. Często młode charty przez kilka dni się zapierają, nim się nauczą iść w parze, ale przyzwyczaiwszy się chodzą doskonale na smyczu. Uwiązywanie chartom kijów, aby w pole nie chodziły, jest szkodliwe a nawet niebezpieczne, bo chart może się na płocie zawiesić, albo w lesie zaczepić i z głodu zginąć. Widziałem na Ukrainie charty pana Lipomana, które drąg nosiły w pysku i tak po polu chodziły. W stajni nie należy chartów sworować, znany mi wypadek, że koń jednego psa zabił, a drugiemu złamał nogę. Kończę przestrogą, by nie wyjeżdżać w pole w dniu skwarnym, szczególnie chartami nie wyciągniętymi. Tej jesieni omal nie straciliśmy chartów, jeden bowiem tak się zapalił, że krzyczał i stać na nogach nie mógł, na szczęście mieli ludzie, kopiący kartofle, wodę, a już nawet słoniny w pysk brać nie chciał. W każdym razie trzeba mieć z sobą trochę strzeleckiego prochu.

Ciąg wiosenny słonek z r. 1881 był bardzo ładny, widywałem po 30 jednego wieczora. Drugiego Kwietnia zaczęto strzelać, piątego spadł śnieg w kolano, szóstego pojechałem sankami do lasu, o trzy kwadranse na siódmą zaczęły ciągnąć. Wieczór był ciepły i cichy, drzewa pokryte śniegiem przedstawiały obraz zimowy, a ze wszystkich stron słychać było świst i chrapanie słonek. Uroczy to, a nawet majestatyczny był widok, pierwszy raz w życiu widziałem coś podobnego. We dwóch ubiliśmy tego wieczora cztery. Zabita słonka spadając zupełnie zatapiała się w śniegu. Podczas całego ciągu zabiłem dziewięć. Rozkoszne to polowanie, gdy cała przyroda ze snu zimowego się budzi, a kiedy wraz z zachodem słońca wiatr ucichnie i staniesz na stanowisku, to oddech w sobie wstrzymujesz, aby cały ten gwar swobodnie uchem pochwycić. Razem się z sobą miesza wrzask kaczek, wabienie się bekasów, odzywanie się czajek, spiew lub świergot ptaków, a przytem balsamiczna woń sosen i ziół — wszystko to porywające, zachwycające duszę najmniej nawet wrażliwą. — Wreszcie gdy się drozd odezwie, radbyś stłumić ów gwar, iżbyś mógł z łatwością usłyszeć ów głos z niecierpliwością wyczekiwanego długodzioba, który cię zelektryzuje, a zarazem przejmie radością niewypowiedzianą. Wreszcie słyszysz już chrapnięcie, widzisz słonkę, ciągnącą wprost na ciebie, kołyszącą się to w prawo to w lewo, wtedy serce twoje przyspieszonem tętnem bije, rajskiej doznajesz rozkoszy. Niestety krótko trwa ów urok, ledwie pół godziny, ale owa krótka chwila warta największych trudów, bo ona podnosi ducha, uszlachetnia go, przelewa w niego urok i poezyę przyrody. Często dla niższych przyjemności wiele poświęcamy, dla czegóż mamy odmawiać sobie tej prawdziwej rozkoszy zwłaszcza, gdy życie ludzkie tak krótkie, a miłych chwil tak mało!

Ciąg dubeltów tegoroczny zaliczyć można w okolicach Brodzkich do lepszych. W dziesięciu dniach zabiłem 211 sztuk. Począwszy 19 Lipca od trzech ubiłem w Boudurach i na Sznyrowie 27° — 15; w Sierpniu zaś 1° — 24, 3° — 32, 8° — 21, 10° w czterech godzinach 43, 13° — 35, 15° — 20, 19° — 12, 20° — 6. Na tem skończyłem błotne polowanie. W owych dziesięciu dniach padło też kszyków, chruścieli, przepiórek i kaczek 264. Kuropatw zabiłem 22. Doliczywszy 9 słonek, w jesieni ani jednej nie zabiłem, padło więc razem ptactwa 506 sztuk. Jeżdżąc z chartami znalazłem stado kuropatw może z 30 sztuk złożone, ale charcie polowanie i deszcz nie dozwoliły mi zapolować na nie, może się dobrze stało, bo lekka zima je przechowa, a w jesieni będzie ich więcej. Dziwią się moi znajomi, że tak wiele biję dubeltów, ja zaś ich zapewniam, że to zasługa dobrego psa, znajomości błota i rączości koni, które w godzinę przenoszą mnie po piaskach o dwie mile.

Mówiłem dotąd o charciem i błotnem polowaniu, teraz wspomnę też o kniei. W tej zimie zabiłem 27 zajęcy, 3 lisy, 4 rogacze, odyńca i jarząbka. Dnia 18 8tycznia t. r. byłem w Lisowicach, gdzie położyłem odyńca. Pragnę Lisowicom poświęcić słów kilka, słów serdecznych, bo łowy tamtejsze zachwyciły mnie i głęboko utkwiły w sercu i pamięci. Jakżeż miłem jest to Towarzystwo braci myśliwych, jak uroczem życie łowieckie, które się tam pędzi. Regulamin ściśle tam przestrzegany, polowanie prowadzone szybko i wzorowo, bo szanowny łowczy nie lubi czasu marnować na próżno, a znając od kilkudziesięciu lat te knieje, przy tak znakomitej nagance, wszystko urządza wybornie. Knieje prześliczne, a parowy z zagajeniem jodłowem i świerkowem tyle mają uroku, że myśliwy nieustannie jest elektryzowany, i choćby w całym dniu wcale nie strzelił, żal mu, gdy wieczór się zbliży i dają sygnał do odwrotu. Powrót zwykle bywa wesoły, bo zdobyczy łowieckiej huk, a przy dojeździe do leśniczówki odzywa się trąbka, i przy tym odgłosie, przy blasku ogni bengalskich zajeżdża żwawo przed nią kilkanaście sań. Bengalskim ogniem wita drużynę myśliwską poczciwa Matka, a matką tą jest jeden z towarzyszów zajmujący się gospodarką. Obiad już gotów, i każdy w jakimkolwiek stroju zasiada do niewytwornego, ale wybornego jedzenia. Brakuje tylko przy tej uczcie Sekretarza, on spisuje protokół z odbytego polowania, który na wety, przy czarnej kawie, odczytuje, bo tak każe regulamin. Protokół słuchany bywa z naj-

większą uwagą, wszak pióro hr. Leepolda Starzeńskiego go kreśliło, a pióro to umie wytwornym dowcipem i pociągającą werwą rzecz ubarwić. Następują przemowy, protesta, prezes dzwoni, rozdziela głosy, a wszystko idzie w porządku, ale żywo i radośnie. Dodać należy, że zawsze przemowa kochanej Matki nader miłe i wesołe sprawia wrażenie. Potem pojawia się Jan strzelec, następuje krótka narada Łowczego z Prezesem nad jutrzejszą wyprawą, wreszcie trzy robry wista przy filiżance herbaty, a o 10ej już wszyscy do snu się układają, aby nazajutrz o 8ej z pokrzepionemi siłami na nowe trudy wyruszyć. Czyż to nie prawdziwa rozkosz, a zarazem dobra szkoła dla młodzieży! Łowczym jest znakomity nasz myśliwy hr. Kazimierz Wodzicki. W Lisowicach poluje się na grubego zwierza, na niedźwiedzia, rysia, dzika i to górskiego, o jakim na rowninach wyobrażenia nie mają, przytem w każdym miocie wiele sarn i jarząbków. Niech żyją bracia Lisowczycy w jak najdłuższe lata, a po nich niech dzieci i wnuki polują w tych górskich kniejach, w których umysł nieodstępnemi w życiu troskami znękany odświeża się, a ciało strudzone pracą hartuje się i krzepi!

NA BŁOTACH BEŁZKICH

PRZEZ

Alexandra Ubysza.

(Ciąg dalszy).

Brzydkie były, porośnięte czarnym puchem, głowy i szyje prawie nagie, tylko żółtym mchem pokryte. Biernie się zachowywały, kiedym je brał do ręki po kolei. Spód gniazda wyścielony był drobnemi gałązkami, wierzch zbudowany z rogożyny, traw różnych i kitek trzcinowych, co go czyni miękkim. Spód chróściany chroni dostatecznie od wilgoci. Gniazdo było dosyć duże i wewnątrz wklęsłe, gdy bocianie ma powierzchnię prawie gładką. Widocznie rodzice nie pozostawiają niedołężnych jeszcze piskląt nigdy bez opieki, straż odbywają po kolei. Pociągnąwszy za sobą psa, opuściłem ostrowę, poczem ubiłem jeszcze dwa ogromne kaczory. Już miałem wracać do domu, bo wyszedłszy z domu przed 5tą po poł. już miałem zmierzch przed sobą, aliści wstrzymało mnie zjawisko, któregom się tu widzieć nie spodziewał, spostrzegłem białą czaplę. Wnet w duszy mojej odmalował się obraz dawnych łowów z sokołami na tego pięknego ptaka dla pozyskania wysmukłych piórek na kitki do kołpaków. Zapomniawszy o późnej porze postanowiłem zastrzelić ową czaplę. Widziałem, że usiadła na ostrowie w pobliżu rzeki, więc znaczną tę przestrzeń przebyłem zrazu chyłkiem postępując, następnie prawie się czołgając, jakoż z niemałym trudem dopełzłem do samej ostrowy. Podnoszę się, rozpatruję, ale ona bystrooka już mnie spostrzegła i uleciała. Daremny trud, trzeba wracać do domu, ani spostrzegłem, że tymczasem dobrze zmrok zapadł i już nawet bożnicy bełzkiej nie widać, kiedy zwykle o kilka mil na tej błotnej równinie świecą jej białe ściany, a w nocy w dnie świąteczne jaśnieje jak meteor śród ciemności nocnej. Ale nie czas na takie poetyczne refleksye, do domu pół mili, w około mnie topiele za dnia straszne, a cóż dopiero w porze nocnej. Ha! chyba wypadnie zanocować, byle dojść do rekruckiej ostrowy, lecz żadną miarą nie mogłem się zorjentować śród ciemności. Na szczęście niedaleko stało kilka kopic grubego, przeszłorocznego siana, a raczej szuwarów i rogoży, które chłopi w lecie skosiwszy suszą i w duże składają kopice, aby w zimie po lodzie saniami, nie wołami, ani końmi, lecz samociąż ciągnionemi przystawić do zagrody nie na paszę lecz raczej na podściołkę. Dobrałem się do jednej z tych kopic i przewróciwszy ją, urządziłem dla siebie i dla psa wcale wygodne legowisko. Mocno byłem znużony, podzieliwszy się z psem niewielkim zapasem chleba, ułożyliśmy się obadwaj do snu. Mój towarzysz wnet zasnął, ja zaś spać nie mogłem z powodu komarów, których tu była mnogość niezmierna. Nie znosząc skwarów słonecznych za dnia, kryją się pod szerokie liście trzcin, rogoży i tataraków, a gdy słońce zniżać się już poczyna, opuszczają swe dzienne schronienie i gromadzą się w chmary, a utworzywszy jakoby olbrzymie słupy wysoko w górę się wznoszące, napełniają brzękiem powietrze. Zachowanie się komarów jest nieomylną przepowiednią przyszłego stanu powietrza, im więcej tych kolumn, im weselej brzęczą i mniej napastują, tem pewniejsza i stalsza pogoda. Gdy przeciwnie nie gromadzą się w słupy, latają przy ziemi, ssąc w braku ciepłej krwi wilgoć błotną, gdy uporczywie dokuczają ludziom, wtedy słota niezawodna, podczas której choćby tydzień trwała, nie opuszczają swego schronienia pod liściami, dla tego przeczuwając konieczność postu podczas słoty tak żarłocznie piją krew, sycąc się na czas długi. Cięły mnie wtedy niemiłosiernie, bo w istocie nastąpiła trzydniowa słota, zresztą była to niezwykła dla nich uczta, nie często bowiem zjawia się tu w nocy tak pożądany dla nich gość. Napróżno przykrywam głowę bluzą, tną w plecy, zagrzebuję się w siano, niepodobna wytrzymać, powietrze zgniłe, kurzące się, stęchłe, oddychać swobodnie nie można. W końcu urządziłem kurzysko, jakie rozniecają stepowe ludy lub nasze „koniuchy“, chłopcy jadący nocą z końmi na paszę. Zdala od kopicy ułożyłem kopczyk mokrego siana i podpaliłem go, skutek był wyborny, mokre siano nie paliło się płomieniem, lecz wydawało z siebie gęsty, gryzący dym, który wzdymany lekkim wietrzykiem ochronił mnie od komarów, uleciały one, ale przeszedłem z deszczu pod rynnę, dym nie pozwolił mi odetchnąć, począłem kichać, krztusić się, nawet Migdałowi było tego za wiele, wtykał nos coraz głębiej w siano, wreszcie jednym susem wyskoczył z wygodnej pościeli. Widok umykającego i prychającego psa był tak pociesznym, iż mimo obfitych łez od gryzącego dymu usta moje składały się do serdecznego śmiechu. Wreszcie kurzysko dopaliło się wysyłając już mniej gęste bałwany dymu, więcej znośnem czyniło moje położenie, a choć tam jakiś zuchwalszy komar ciął, to już rzecz mniejsza. Drugą dotkliwą dla mnie wtedy plagą były żaby. Miłe dla ucha jest dalekie ich skrzeczenie, opiewał tę muzykę niemały już zastęp poetów, nawet Mickiewicz mówi w Panu Tadeuszu, że najpiękniej skrzeczą polskie żaby, radbym jednak umieścić nieśmiertelnego naszego wieszcza w środku moczarów, gdzie krocie tych wdzięcznych spiewaczek głośnym

i nadto bliskim chórem monotonnie kładą w uszy swoje ra! ra! ra! kto wie, czyby nie odwołał tak pięknie brzmiącej w swoim poemacie sentencyi. Hałas ten rozdrażnił mnie do najwyższego stopnia i przygłuszał inne o wiele milsze dla ucha głosy. Z kilku miejsc odzywał się huczący głos bąka, z oddali, z miejsc bliższych wsiom, mniej błotnych dochodziły mnogie głosy derkaczy, po myśliwsku chróścieli, wszystko to nikło wobec skrzeku nieznośnych żab. Około północy wypłynął księżyc w ostatniej kwadrze, niezbyt jasny, zamglony, jak lud mówi: „w lisią otulony czapkę“, zwiastujący wspólnie z komarami bliską słotę. Wszystko się na mnie sprzysięgło, nawet tataraki ziejące swą silną, narkotyczną wonią, zmięszaną z wilgotnymi wyziewami moczarów, nie nader dobroczynnie wpływały na organ powonienia, byłem jakby odurzony, wszystko to spędziło sen z moich oczów i dało chyba tę korzyść, że pozwoliło mi robić spostrzeżenia nad grą świateł i cieni. — Wreszcie poczęło dnieć, księżyc bladł jak mówi dawne przysłowie: „jak klecha przed organistą“. Zaledwo błękit niebios w stronie wschodniej począł przybierać blado-jasną barwę, wnet odezwały się głosy pobudki, trąbionej przez żórawie, robiło się coraz gwarniej, coraz widniej, już mgły opadały lub lekko i zwolna przepływały, gwar skrzydlatych mieszkańców był coraz głośniejszy. Już się dobrze rozwidniło, miałem wracać do domu, rysującymu się w oddali wysokiemi topolami, gdy od strony rzeki nadlatuje biała czapla, i zapada niezbyt daleko od miejsca, w którem nocowałem. Na jej widok jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej cała energia myśliwska obudziła się we mnie, zapomniałem o wszystkich tarapatach, jakie przebyłem. Przykrywszy psa sianem i przykazawszy mu leżeć, począłem się podkradać pod ową czaplę, jakoż podsunąłem się może na kroków 20, widzę ją, stoi niby zadumana przy samym brzegu jeziora, ujrzała rybkę podpływającą, dzióbnęła i podrzuciwszy nieco w powietrze srebrnołuską rybkę połknęła, lecz zarazem część naboju śrótu, który jej posłałem. Padła nieżywa. Czaple żerują tylko podstępem, stoją nieruchome przy brzegu i czatują, ryba bierze ją za przedmiot martwy, podpływa bez obawy, i wnet staje się jej pastwą, której czaple, jak wiadomo, wiele potrzebują. Uszczęśliwiony taką zdobyczą wróciłem do domu z tryumfem, bo nie z pustą torbą. Strzelbę zostawiłem w budzie, mego huzara zaś umieściłem w torbie. Po drodze spotkałem aż dwóch po mnie wyprawionych posłańców, którzy mi zarazem donieśli, że „stary pan“ wczoraj wysyłał do Woronowa z zapytaniem, czy mnie tam nie ma, i że sam wyprawia się z Wasylem na błota w celu poszukiwań za mną. Na wstępie zatem do domu porządna na mnie spadła bura, następnie zdałem sprawę z mojej całej wyprawy, i okazałem, jak to z energią i dobrą wolą nawet z pistoletu (nie chciałem zdradzić tajemnicy) można ubić zwierzynę. Rozumie się byłem pasowany na dzielnego strzelca, a huzar z rąk do rąk przechodząc stał się przedmiotem podziwu. Musiałem jednak dać solenne przyrzeczenie, że nigdy bez Wasyla nie puszczę się na tak niebezpieczną wyprawę. Co do białej czapli, którą miałem za wielką osobliwość, spadłem na łeb z mego siódmego nieba, zapewniono mnie bowiem, że ich tu nie brak, i że nawet się gnieździ. O wiele rzadszym jest pelikan, czyli tak zwana „baba ukraińska“, który chwilowo tylko tam przebywa.

Dom w Ostobużu stoi na wzgórzu z widokiem na błota, które też w całej ich rozległości aż pod sam Bełz z ganku widzieć można. Mimo szczerej chęci znużenie nie pozwoliło mi ponowić wycieczki na błota, musiałem poprzestać na ich widoku. Dzień był pogodny, a nawet jako w Maju skwarny, najmniejszej chmurki nie było na horyzoncie, wszystko wróżyło stałą pogodę, domownicy o tem upewniali, ja przeciwnie zapowiadałem słotę, i porobiłem zakłady, a upewniały mnie o tem gwar wodnego i błotnego ptactwa i stoczona krwawa walka z komarami, której dotkliwe ślady nosiłem na całem ciele. — Gwar ptactwa był nadzwyczajny, pomięszany z pluskiem wód, który czyniły kaczki i gęsi dzikie uderzając silnie o nie skrzydłami lub urządzając jakoby wyścigi na ich powierzchni, przy czem gwałtownie kwakały i gęgały. Nawet wrony ciągnęły pojedyńczo w celu użycia kąpieli, co też i u innego wodnego i błotnego ptactwa żywo się objawiało. Wszystkie stworzenia na wolności, starające się własnym instynktem o żer, przeczuwając słotę i zbliżającą się czarną godzinę, szukają z podwojoną gorliwością żeru, a wszelkie ptactwo przewidując słotę znacznie dłużej jak zwykle wieczorem żeruje. Przepowiednia moja ziściła się, około południa przybrał błękit nieba coraz bardziej szaro-mglistą barwę, a przed wieczorem począł padać deszcz drobny wprawdzie, ale gęsty, prawdziwy kapuśniaczek rozlawszy się następnie w trzydniową słotę. Nudziłem się piekielnie, wtem zjawia się Wasyl i daje mi z poza bramy tajemnicze znaki. Podszedłem do niego i po krótkiej naradzie postanowiliśmy pójść na węgorze. Deszcz padał bez przerwy, lecz cóż to znaczy, będziemy mieli wodę na sobie i pod sobą. Zabrawszy w czółno kilka długich, sosnowych żerdzi, sak i płócienny duży worek, uszyty sposobem tak zwanego „bałamuta“, „reptiucha“, z którego upiętego do dyszla zwykły chłopskie konie na popasach się żywić, ruszyliśmy. Wór cały mógł mieć około trzech łokci objętości, ze szwami po obu stronach rozprutymi niemal do trzeciej części długości, końce zaś czyli poły, jak ów bałamut czyli po mazowiecku „tajstra“, jedna z nich przytwierdzoną była do długiej sosnowej żerdzi, druga zaś do ciężkiej, żelaznej sztaby, służąc za rodzaj toni. Wór wpuszczony w wodę wpadając na spód ciężarem czyli tonią, otwierał się na rozścież. Wór to był pomysłu Wasyla, jak się naocznie przekonałem nader praktyczny, używał go jedynie na węgorze i sumy. Wiadomo, jaką siłą i sprężystością obdarzony jest węgorz, nowej i bardzo silnej trzeba sieci, żeby ją ta ryba nie przerwała, a woru tego płóciennego największy nawet sum lub węgorz przebić nie zdołał. Włożywszy na czółno te wszystkie rybackie przybory, przepłynąwszy nie wielką przestrzeń, przybiliśmy do brzegu i rozpoczęli połów. Brzegi Sołokii, jak już wyżej rzekłem, niskie i moczarowate, koryto wije się kręto śród błót, a zakręty te lud nazywa kątami jak Muranowy, Plackowy, Czajkowy i t. d. Woda na tych zakrętach czy kątach bardzo głęboka, a najgłębsza na Muranowym kącie, brzegi rzeki w tem miejscu, osobliwie od strony Staj spławiste t. j. daleko lecz niezbyt głęboko podmulone, były ulubionem schronieniem sumów i węgorzy, więc przy tym brzegu zapuściliśmy ów wór przez Wasyla spławem nazwany. On stojąc w czółnie zapuścił wór, moim zaś obowiązkiem było okrążywszy brzeg, przy którym wór był zapuszczony, wprost ku czółnu dążyć, a w miarę zbliżania się ku rzece silnie deptać nogami i kołem ostro zaciosanym przebiwszy brzeg podmulony aż do wody, straszyć ukryte pod spławem ryby. Skutek był pomyślny, przy pierwszym zapuście złapaliśmy trzy duże węgorze, dwa szczupaki i jednego okonia. W kilku godzinach ułowiliśmy różnej ryby sztuk kilkanaście, lecz ani jednego suma, tę bowiem rybę rzadko kiedy w podobny sposób złowić można, pewniejszym jest włok, również jak łowienie na tak zwany „przegon“, który w taki urządzany bywa sposób. Używa się długiego (w miarę szerokości brzegów rzeki) sznura, najodpowiedniej z skręconego włosienia, bo mocny, nie gnije,

a co najważniejsze jasną barwą nie straszy ryby, dobry jest i konopny, lecz smolony, co czyni go wytrwałym na wilgoć i ciemnym kolorem nie płoszy ryby. Do takiego sznura uwiązują się w pewnych odstępach wędki z podwójnymi haczykami, mającymi kształt kotwicy. Haczyki powinne być przytwierdzone na drutach cienkich we dwoje lub troje skręconych, mosiężnych, żelazny bowiem rychło w wodzie rdzewieje i rwie się. Haczyki muszą być upięte na drutach z tego powodu, ponieważ ryby drapieżne, jak sum, szczupak, ostrymi obdarzone zębami, przy zahaczeniu się na włosiennym lub konopnym sznurku, łatwo go przegryzają i uchodzą. Jako przynęta służy mała ryba, najlepiej płotka, ponieważ po nawleczeniu na haczyku długo jeszcze żyje, i wybornie maskuje wędkę. — Wasyl dniem przedtem nastawił taki przegon na wąskiej, dawnej młynówce, wpuściwszy sznur w wodę z uczepionymi na drucikach haczkami, końce zaś jeden na jednym, drugi na drugim brzegu kołkiem do ziemi przytwierdziwszy. Dodać należy, że sznur nie powinien być naciągnięty, lecz wolno w wodzie zwisać. Był to poniedziałek, ale nie feralny, ułowiły się bowiem dwa szczupaki i młody sumik, więcej niż łokciowy, wyborny do jedzenia, stare twarde i łykowate, dają się użyć chyba do marynaty. Zmokli i przeziębli wróciliśmy do domu. Rzeka Sołokija należy do najrybniejszych, z dnem błotnistem, łącząc się z Bugiem, a więc pośrednio z Wisłą i morzem baltyckiem przyjmuje z tych wód znaczną ilość ryb rzecznych a nawet morskich jak węgorz i jesiotr. Bywają tam sumy, węgorze, szczupaki, karpie, okonie, płocie, liny skąpo, z drobnych: kiełbie, karasie, których najwięcej po jeziorkach i po moczarach, jażgierz zuchwały, bo nastawiwszy ostre skrzela i łuski nieda się wziąć szczupakowi, a nawet sumowi, wreszcie miętusy, z których tłustej wątroby wyrabiano niegdyś tak zwany miętusowy olejek. Wytwarzano go w ten sposób, iż płatano żywego miętusa, wkładano wątrobę wraz z „chuchrami“ (patrochami) do słoja lub butla i wystawiano na słońce. Po kilku miesiącach oddzielał się tłuszcz od mięsa, jako płyn koloru ciemno-żółtego. Zlewano potem ów płyn do czystej flaszki po kilka kropli używając przeciw bielmu u zwierząt i ludzi. Lud dziś jeszcze święcie wierzy w skuteczność owego miętusowego olejku. Raków mnóstwo w Sołokii, gdzie tylko brzeg mniej błotny, tam pełno ich po dziurach, które nie wygrzebują nożycami, lecz wiercą dwoma kolcami, u paszczy się znajdującymi Z dziwną przezornością urządzają sobie mieszkania czyli nory, wnętrze ich suche, lubo zawsze wchód do nich pod wodą. Nory takie bywają na dwa łokcie głębokie i pochylone są ku wejściu. Twarde brzegi rzeki mają mnóstwo takich nor w różnej wysokości, gdy woda niższe zalewa, przenoszą się raki do wyższych, gdy spada, w niższe. Łowią je w rozmaity sposób, na wędy bez haczyka, przytwierdzając do sznurka uwiązanego na pręcie kawałek mięsa, i wpuszczając go razem ze sznurkiem, rak chwyta nożycami mięso, poczem wyciąga się go wolno na powierzchnię wody i podstawia przetak lub naczynie jakie pod niego. Rak nie umie chodzić po lądzie, ale pływa wybornie nożycami szybko wiosłując, ogonem czyli szyją poruszając płynie jak strzała, a raczej „szczutkuje“, jak mówią rybacy. Inny jeszcze jest prostszy i łatwiejszy sposob łowienia raków, mianowicie sięganiem ręką i wyciąganiem ich z nory, broni się biedak wtedy jak może, nawet dosyć boleśnie uszczypnie nożycami, ale nie ujdzie, jeśli się go chwyci za cały korpus, chwycony za nożycę urwie się i umknie ów psotnik. Psotnikiem go nazywam, bo istotnie czem kuna, lis lub tchórz dla drobniejszego ptactwa w lesie, tem rak w stawie i rzece dla drobnej ryby lub młodej większej, chwyciwszy nożycami wciąga ją do nory, i tam pożera. Większą jeszcze czyni szkodę pożeraniem ikry, którą łażąc po dnie w płytkich wodach skrzętnie wyszukuje Kto chce mieć rybę w stawie, niech tępi raki. Praktyczną więc jest dawna przypowiastka :

„Gospodarz to ladajaki
Co z rybami trzyma raki“.

Po kołbaniach i jeziorach piskorzy liczba nieprzebrana. Łowione bywają też w lecie, zwłaszcza gdy posuszne, i więcej błota, niż wody, ale najodpowiedniejszą porą do ich połowu jest zima. W miesiącu Styczniu, gdy powierzchnia moczarów zamarznięta staje się przystępną, biorą z sobą włościanie wsi nadbłotnych tak zwane „werszki“, więcierze sporządzone z prętów łozowych, w kształcie podłużnego do dwóch łokci długiego kosza, miejscami przeplecionego łodygą dzikiego chmielu. Cieńszy koniec owej werszki zamknięty jest splotem prętów, drugi szeroki również zamknięty, ma wszakże w środku niewielki otwór, najzupełniej podobny do otworu w łapkach mysich. Wetknąwszy nieco grochowin w wnętrze tej werszki, zanurzają ją w niezamarzłe błoto oparzyska lub w przeręble jeziora lub kołbani, z wierzchu przywaliwszy kłodą drewnianą lub bryłą lodu, żeby nie spłynęły. Pozostawiają ją tam przez noc. Nazajutrz każdy dąży do swych werszek, dobywa je i wytrząsa ułowione piskorze, a rzadko mniej z jednej werszki, jak trzy garnce. Grochowina służy za przynętę dla piskorzy, jak wiadomo łodygi a osobliwie strączki grochu mają wiele słodyczy, gdy dobrze rozmokną w wodzie, słodycz ta rozchodzi się i przynęca piskorze, które pragnąc się dostać do owych łakoci dotąd krążą w koło werszki, aż wreszcie znalazłszy otwór hurmą się wciskają i ssą słodycz grochowin, ale wydobyć się nie mogą z tej łapki, bo ona urządzona tak jak mysia. Chłop nie leniwy ułowi ich w zimie mroźnej kilka korcy, i spożywa gotowane lub suszy w piecu. Suszone dosyć długo dają się przechować i służą w czasie długotrwających ruskich postów jako okrasa do różnych potraw. Świeży piskorz nie bardzo smaczny, czuć go błotem, marynowany wyborny zwłaszcza gdy naprzód był usmarzony w oliwie, a nie w maśle, w niczem nie ustępuje marynowanym minogom tak drogo płaconym po sklepach. Należy piskorze wkładać do faski żywe, nie nalewając wody posypywać je suto solą. Barbarzyństwo to jest koniecznem, bo solone piskorze poczynają się wić z bolu i cmoktać, czem usuwają z siebie błotny szlam, jaki całą ich powierzchnię a nawet wnętrzności pokrywa. Na chwilę tracą swą cinmno-czarną barwę i stają się nieco popielate, ale wyjęte z soli odzyskują pierwotną barwę. Wtedy dopiero zabija się je odcięciem całej głowy i sprawia wyrzucając chuchra, uważając starannie, aby nie wyrzucić ikry lub mleczka. Spłukawszy w niezbyt gorącej wodzie, smarzy się jeśli do rychłego spożycia na maśle, na marynatę zaś w dobrej oliwie.

Nie bez celu obierały sobie ludy z czasów kamiennych i bronzowych na siedziby swe miejsca przecięte rzekami, a nawet budowały sałasze na wysokich palach śród moczarów, żywiły się bowiem darami przyrody, rybą, zwierzyną, owocami, grzybami, miodem. Niebrak też tej żywności w tych niemal w stanie pierwotnym znajdujących się miejscowościach, które opisuję. Do nich słusznie przystosować można staropolską przypowieść: łąka, mąka, ryby, grzyby! Jest mąka, wszakże słynną jest ziemia Bełzka z żyzności swej gleby na całą Polskę, a jeżeli który skrawek Polesia nie posiada zbyt urodzajnej ziemi, to ma pewnie inne bogactwa jak lasy i rzeki, pierwsze pełne zwierza, drugie ryb. Nigdy w te strony nie zawitał głód w całej swej grozie, jak to się zdarza w innych

nawet chlebnych okolicach. Poleszuki zwykli byli mawiać: „urodzi miernie, ale zato wiernie“, lub: „nie ma chleba do pasa, lecz nie goni głód do lasa“. Toż przywiązani są oni serdecznie do swojej ziemi, jak w ogóle każdy członek naszego narodu. Anglik, Francuz, Niemiec chlubi się swoją ojczyzną, ale porzuca ją i nie tęskni do niej, gdy mu dobrze na obczyznie, my zaś nawet w dostatkach umieramy z tęsknoty za naszą ziemią, często nawet skąpo żywiącą, i każemy sobie kłaść grudkę tej ziemi pod martwą głowę, aby na niej wiekuiście spoczywać. (Ciąg dalszy nastąpi).

STAN SARN W GALICYI

PRZEZ

Karola Hostońskiego.

Jest rzeczą pewną, że sarny hodują się u nas nie na podstawie umiejętności łowieckiej. W takim stanie rzeczy musi do tego dojść, że owa zwierzyna, jeżeli nie wyginie zupełnie, to pewnie stanie się rzadką. Ustawa pozwala strzelać rogacze od 1 Czerwca do końca Lutego, żyją one przeto swobodnie od Marca do końca Maja, jeżeli kłusownik tej swobody nie ukróci. Ustawa ta nie jest zgodną z trybem życia i płodzenia się sarn. Najstarsi i najpraktyczniejsi łowcy nie byli z sobą w zgodzie, w której właściwie porze sarny się grzeją, i jak długo koza nosi brzemię. Jedni czas rui oznaczali na Sierpień, drudzy na Listopad. Najnowsze badania dowiodły, że zapłodzenie kóz następuje w Grudniu, gdzie łagodna zima i wczesna wiosna, u nas zaś w końcu Grudnia lub w początku Stycznia. Jakkolwiek rogaczę uganiają się w Sierpniu za kozami i łączą się z niemi, to jednak jest rzeczą niezawodną, iż nigdy nie znaleziono od Sierpnia do Grudnia śladu zapłodzenia. Zbadano najdokładniej, że koza nosi 20—21 tygodni, i z końcem Maja lub w połowie Czerwca zwykle dwoje młodych rzuca, co jest niezbitym dowodem właściwej pory rui w Grudniu lub Styczniu. Mylnem jest twierdzenie niektórych myśliwych, że koza w Sierpniu bywa zapłodnioną, i że ów zapłodek dopiero później się rozwija, twierdzenie takie sprzeciwia się prawom przyrody, która nie zna tak późnego rozwijania się zapłodku. Powyższy wywód jasno wskazuje, że polowanie na sarny w Grudniu i Styczniu jest nader szkodliwem, i wielce się przyczynia do upadku tej zwierzyny. Ustawa pozwala strzelać tylko rogacze bez względu na ogólny stan sarn. Policzmy, ile pada rogaczów, czyż mimowoli nienasuwa się obawa, iż w końcu zabraknie kozłów, lub nie będzie dostatecznej liczby do zapłodnienia kóz? Nadmiar kozłów jest niezawodnie szkodliwym, nie mniej wszakże szkodliwym brak ich. Sarny trzymają się w stadkach, jest rzeczą niezbędną, aby w każdem z nich była odpowiednia ilość rogaczów. Wszakże rogacz czuwa nad bezpieczeństwem swej rodziny, on staje w jej obronie, gdy zwierz drapieżny ją opada, jak go zabraknie, któż będzie owym stróżem i obrońcą? Jak bezwzględne wybijanie kozłów, tak również takie szanowanie kóz jest szkodliwem, a koniecznością jest w celu utrzymania dobrego stanu tej zwierzyny wybijanie kóz jałowych. Prawda, iż to rzecz niełatwa, dałaby ona powód do nadużyć lub zbyt częstych pomyłek, bo któryż z łowców rozpozna je na pewne. Kozy jałowe nie przynoszą żadnego pożytku, nie wybite marnieją i giną, młode kozły (szpiczaki) uganiają za niemi, i wysilają się nadaremnie, a wysilenie to wywołuje często zapalenie organów płciowych i inne choroby. Temu złemu może zaradzić z niemałym trudem tylko praktyczny, fachowy łowiec, więc wystrzeliwanie kóz jałowych może być tylko tam dozwolone, gdzie racyonalne łowiectwo jest wprowadzone. Doświadczenie łowieckie uczy, że podczas rui koza jałowa najczęściej w oddaleniu od stadka się trzyma, i że tylko szpiczaki za nią się uganiają, to jednak nie daje jeszcze pewności, że jest jałową. Jedynie dokładnie można odróżnić kozę jałową na naturalnych i sztucznych żerowiskach. Przybywa ona tam wcześniej lub później, odosobniona od stadka, a jej kształt zdradza ją. Tam tylko można ją upatrzyć i jako nieużyteczną zabić. Twierdzenie niektórych myśliwych, że koza jałowa stara jest wielką, silniej zbudowaną i sama chodzi, jest bezpodstawnem, bo kształty sarny zawisłe są od mniej lub więcej pożywnego żeru, a samotność jej może wyniknąć z innych przyczyn. W celu utrzymania pożądanego sarnostanu trzeba przedewszystkiem starać się o dostateczny i odpowiedni żer, a w czasie rui o spokój i ciszę w kniei. Czyż sama Ustawa nie miesza tego spokoju? Wszakże właśnie w tej porze odbywają się największe polowania i trwają do końca Lutego. Krótka, trzymiesięczna przerwa daje sarnom spokój i swobodę, ale nie wobec zwierza drapieżnego, a od Czerwca znowu niepokoją je myśliwy i kłusownik. Taki tryb postępowania musi doprowadzić sarnostan do upadku. Wyżej już powiedziałem, że jest niezbędną koniecznością utrzymywać pewną ilość kozłów. W Czerwcu, gdy koza się okoci kozioł nie opuszcza rodziny, trzyma się w pobliżu, i w potrzebie staje w obronie jej. W tej porze lis jest dla sarniąt najgroźniejszym. Gdy go sarna spostrzeże lub zwietrzy, wydaje z siebie pisk, zwiastujący groźne niebezpieczeństwo, wtedy młode kryją się, a matka piskiem nieustającym upomina je do jak najstaranniejszego ukrycia się i przywołuje w pomoc rogacza. Oddaleniem się usiłuje matka odwrócić uwagę drapieżnika od miejsca schronienia swych dzieci, lecz nie zawsze jej się to udaje, lis przebiegły nie zchodzi z tropu, rzuca się i dławi młode, nim matka w pomoc nadbieży, nim rogacz silnem natarciem napastnika odpędzi. Kozły prowadzą rodzinę wietrząc niebezpieczeństwo, zapewniając swobodę, koza zajęta dziećmi nie może tego czynić, zawsze kozioł stoi na czatach, Zresztą nie tylko lis tępi sarny, inne też zwierzęta drapieżne są ich wrogami, kto przeto chce mieć dobry stan sarn, niech utrzymuje odpowiednią liczbę kozłów i wytępia drapieżne zwierzęta. Nie da się zaprzeczyć, że dziki również czynią szkody w młodych sarnach. Na podstawie powyższego wywodu byłoby rzeczą wskazaną strzelać kozły dopiero w połowie Lipca, kiedy sarniątka już o tyle podrosły, że mogąc zdążyć za matką ucieczką wobec drapieżników ocalić się mogą.

W celu utrzymania pomyślnego sarnostanu jest niezbędną potrzebą:

1. Zapewnić zwierzynie spokój, iżby nie była płoszoną

w jakikolwiekbądź sposób, szczególnie w porze rui i kocenia się.

2. Wybijać kozy jałowe, kozły zaś tylko, o ile one okażą się dla odpowiedniego rozpłodzenia niepotrzebnymi i nadliczbowymi.
3. Ściągać do kniei sarny urządzaniem w odpowiednich miejscach, na łąkach leśnych lub halawach słonisk, zasiewaniem grochu, groszku i buraków.
4. W zimie poddawać odpowiednie pożywienie, w czasie nawalnych śniegów lub gołoledzi podrzucać siano, marchew, dzikie kasztany, podcinać topole, jasiony, iwy, by sarna pączkami i korą tych drzew się żywiła.
5. Tępić kłusownictwo i zwierzęta drapieżne.
6. Gdzie sarnostan znacznie się zmniejszył, nie polować wcale przez kilka lat, a później tylko pojedyńcze kozły na zasiadkach lub podjazdach wybijać. Polowań hałaśliwych, szczególnie z psami na dłuższy czas zaniechać.

Racyonalne gospodarstwo łowieckie, szczególnie ze względu na sarnostan jest tylko wtedy możliwe, gdy urzędnicy lasowi będą fachowymi łowcami, wykształconymi w tym zawodzie teoretycznie i praktycznie. Wieleż takich mamy w naszym kraju? Nader mało, a przyszłość nie wiele więcej ich obiecuje, gdy nasza szkoła lasowa kształci przyszłych leśników jednostronnie i nie daje im jasnego i dokładnego wyobrażenia o umiejętnem łowiectwie, co dla prawdziwego leśnika jest koniecznem i niezbędnem. Jest rzeczą pewną, że jedynie leśniczy będący oraz fachowym łowcem potrafi wyciągać istotne korzyści z zwierzostanu. Wie on dokładnie, ile ma zwierzyny w swoich rewirach, ile rogaczów, szpiczaków, ile kóz płodnych i jałowych. On tylko winien decydować, która koza może być strzelaną, czy można i na jaką zwierzynę polować, ile kozłów można wybić. Nie mam zamiaru twierdzić, iżby sam właściciel nie posiadał łowieckich wiadomości, owszem mamy między nimi wielu umiejętnych myśliwych, i właśnie każdy z nich chętnie mi przyzna, że najbogatsza teorya nieodpowiednio w praktyce użyta staje się niepożyteczną. Leśnik zwidzający knieje od świtu do późnej nocy może tylko znać dokładnie zwierzostan, wiedzieć o jego składzie, właściwościach, miejscu pobytu, przesmykach, chorobach i t. d. Nikt nie zaprzeczy, że w Czechach łowiectwo stoi na wysokim stopniu rozwoju. Na dowód, ile przy umiejętnem i gorliwem działaniu w trzech latach na polu łowieckiem pomyślnych skutków osięgnąć można, niech służy przykład. Pewnego roku odbywały się polowania w dobrach ks. Lichtensteina, ubito w sezonie 45.000 sztuk rozmaitej zwierzyny. Zaimponowała tak wysoka liczba księciu Rohanowi, który w tych polowaniach brał udział. Tak bogatego zwierzostanu żadne nie miały knieje. Dodać należy, że tam każda sztuka zwierzyny bywa zaregestrowana, nadto jelenie, dziki, sarny ważone. Po skończonym polowaniu oświadczył książę Rohan, że po trzech latach zaprosi gości do siebie na równie bogatą zdobycz myśliwską. W istocie po upływie tego czasu padło u niego 49.000 rozmaitej zwierzyny, w tej liczbie 14.000 kuropatw. Rezultaty to nieprawdopodobne, prawie bajeczne, a jednak prawdziwe. Czyż my nie możemy mieć takiego zwierzostanu — niezawodnie możemy z mniejszym nawet kosztem, jak w Czechach i Niższej Austryi. Koszta hodowania sarn, zajęcy nie są znaczne, w porównaniu z korzyścią prawie żadne, lecz wszelka praca i wydatki będą marne, jeżeli nasi leśnicy nie będą fachowo wykształceni.

Ciężko grzeszą ci właściciele polowań, którzy ochraniają lisa, a ochraniają dla osobistej przyjemności spotkania się z tym rabusiem. Są wprawdzie między nimi tacy, którzy gorliwie tępią lisy, kuny, tchórze, jastrzębie i tym podobne drapieżniki, są to jednak jednostki, nie przynoszący istotnej korzyści. Możnaby to przyrównać do oczyszczania drzew owocowych z robactwa. Na co mi się przyda takie najstaranniejsze oczyszczenie w moim ogrodzie, jeżeli moi sąsiedzi tego nie czynią, robactwo wnet szukając żeru wtargnie z sąsiedztwa do mnie. Tylko bezwzględne tępienie ich może podnieść zwierzostan pożyteczny, a szczególnie sarn.

KORESPONDENCYE.

Podkamień, 10 Kwietnia 1882.

Do toczącej się przez kilka numerów „Łowca“ ciekawej i dla myśliwych pouczającej polemiki co do wyższej doskonałości rozmaitych systemów broni, ośmielam się także słówko dorzucić. Nieśmiem bynajmniej nikomu narzucać mego zdania, zwłaszcza, że je nieopieram na żadnej teoryi, i tylko popieram zdobytą długoletnią praktyką na myśliwskiem polu. Prócz tego przekonany jestem, że dla każdego z naszych braci w Nemrodzie zaufanie położone w broni, do której przywykł, i w jej systemie tak jest silne, że walka przeciw temu stanie się zawsze bezsilną. Jak u chorego zaufanie do pewnego leczniczego systemu, czy to aleopatyi, czy homeopatyi, czy hydropatyi, staje się często niezbędnym warunkiem zdrowia, tak i u myśliwego zaufanie do systemu broni, z którą poluje zazwyczaj, jest niezbędnym warunkiem do przyjemności łowieckiej. Jak więc u chorego nienależy podkopywać zaufania do lekarza, który go leczy, tak i u myśliwego nienależy podkopywać zaufania do broni i do systemu, do którego przywykł. Nasza broń myśliwska w przekonaniu mojem tak jest wydoskonaloną w ostatnich czasach, że i najbardziej wygórowanym żądaniom odpowiedzieć może. Każdy system jest dobry, skoro w nim myśliwy zaufanie pokłada. Tę postawiwszy z góry zasadę do osobistych moich uwag śmiem dopiero przystąpić. Jako namiętny od lat najmłodszych myśliwy, a przytem fanatyczny lubownik broni, zdawna starałem się, o ile tylko środki pozwalały, posiadać wszelkie najlepsze rodzaje broni, o jakich słyszałem tylko. Był to może jedyny zbytek, jakiego sobie pozwalałem w życiu. Przez ręce moje przeszły też najsłynniejsze wyroby angielskie, francuskie, belgijskie i niemieckie, tak niegdyś broni kapslowej, jak później odtylcowych systemów. Jak już poprzednio wspomniałem, niejestem wcale teoretykiem i zdania żadnego na tej podstawie nie wygłaszam. Prócz tego przyznać się muszę do pewnego dziwactwa, że nigdy strzelb moich nie wypróbowywałem do celu. Tylko dłuższa z niemi praktyka na rozmaitych polach myśliwskich dawała mi dopiero miarę ich dobroci. Przebywszy w ten sposób długoletnie i najrozmaitsze

próby ze wszystkimi systemami odtylcowej broni, pochodzącymi z pierwszorzędnych znanych fabryk Europejskich, porównawszy je ze sobą, stanowczo przyznać muszę w każdym względzie pierwszeństwo systemowi iglicowemu nad wszystkimi innymi systemami. Z dwóch używanych u nas systemów iglicowych: „Dreyse i Teschner“, temu ostatniemu także przyznać dziś muszę pierwszeństwo, nie pod względem dobroci, lecz pod względem praktyczności. Wszelkie moje pierwszorzędnych wyrobów angielskich, belgijskich i niemieckich strzelby systemu Lankaster, próbowane z iglicówkami, tak pozostały daleko, że teraz jako broń pamiątkowa spokojnie spoczywają w moich szafach, a żadnej innej broni oprócz iglicowej na polowaniu nieużywam. Nadmienić muszę, iż uprzedzenia do żadnego nie miałem systemu i używałem ich wszystkich i to na wszelkich możliwych myśliwskich polach, by się o doskonałości systemu przekonać. Pewnie ciekawość największą we wszystkich u nas czcicielach św. Huberta wzbudzi zaproponowany w ostatnim numerze „Łowca“ popis między iglicówką i Lankastrówką. — Jestto sport, który w świecie myśliwskim większe może zajęcie mógłby wzbudzić, niż wzbudziłby w świecie kursowego sportu bieg pierwszych dwóch wyścigowych koni znanych w świecie. Wynik tej szermierki, zdaje mi się, z góry jest znanym. Tego rodzaju turniej z moją bronią rozmaitych systemów przeprowadzałem już nieraz, i wiem o ile broń systemu Lankaster przez broń iglicową dystansowaną bywa. O pewności strzału kulami z iglicowej broni sądu wydawać nie mogę, gdyż jest u mnie zasadą ze sztućca tylko strzelać kulami, a nigdy nie strzelać kulą z broni używanej do śrótu, co jest dla luf zabójczem. A jednak widywałem kolegów moich robiących strzały zadziwiające kulami na znaczne nawet odległości ze strzelb iglicowego systemu. Mieszkając w okolicy obfitej w stawy i bagna, bardzo wiele poluję na kaczki. Rzecz wiadoma, jaka ilość tego ptactwa zbarczonego przepada. Statystyczny przez dłuższy czas prowadziłem protokół tego rodzaju ptactwa, strzelanego rozmaitymi systemami broni, i przekonałem się, że przy iglicówkach traciłem ich o dziesięć razy mniej niż przy Lankastrówkach, nawet pierwszorzędnych fabryk. O własnych strzałach z iglicówek wspominać nieśmiem, ale wspomnę o kilku faktach, których byłem świadkiem naocznym. Widziałem odyńca sporego, zabitego na miejscu przez sąsiada mojego z Teschnerówki na kroków 48 śrótem Nr. 4. W sercu odyńca znaleziono 4 śróty. Gęś dziką widziałem zabitą bekasim śrótem na wysokości takiej, iż ja do niej sarniakiem z Lankastrówki angielskiej nie odważyłem się strzelić. Widziałem, jak jeden z Towarzyszy naszych łowów Lisowickich z iglicówki spuścił orła krążącego nad całą linią strzelców, a nikt z towarzyszy naszych niepokusił się nawet do strzału. Wyznać muszę, że wszelkie strzały tak własne jak i cudze, które mnie w życiu mojem w największe zadziwienie i zachwyt wprawiły, pochodziły z broni iglicowej. Jestem w posiadaniu kilku strzelb tego systemu, fabryk Teschnera i następcy jego Collatha, a jednak wyznaję, iż palmę nad niemi odniosły bezwzględnie dwie strzelby tegoż systemu nieodżałowanego naszego rusznikarza Tadeusza Wiśniowieckiego. Z jedną z tych strzelb odbyłem w roku zeszłym kampanię myśliwską w Syryi, i nie mogę opisać usług, które mi ta broń oddała. Przekonany jestem, że z inną strzelbą nie byłbym do połowy doszedł rezultatów, które przy jej niezrównanej dobroci osiągnąłem.

Sprawozdanie opisane do „Łowca“ przez Karola Brzozowskiego wspomina o strzałach, których był świadkiem wraz z konsulem austryackim panem Geoffroi, i tak szakal padł na miejscu od strzału na 130 kroków, a żbik na kroków 111. O innych podobnych strzałach nie wypada mi wspominać, choć to wyłączna zasługa broni i jej systemu. Po tak bezwględnym tryumfie, którą broń iglicowa w próbach łowieckich nad innymi systemami śród broni mojej odniosła, żadnej innej dziś już nie używam. Co się zaś tyczy bezpieczeństwa, przekonany jestem, iż każdy nieuprzedzony myśliwy to przyzna, że korba zamykająca obie sprężyny i dająca się tylko ręką ludzką odemknąć, o wiele jest bezpieczniejszą od kurków, które przez uderzenie i zaczepienie prędzej odwieść się dadzą. Dwa angielskie ładunki już mi zawiodły do wilków z Lankastrówki, również jak i kilka razy do dzików ze sztućców tegoż systemu. Nieprzypominam sobie prawie, by mi iglicówka kiedykolwiek zawiodła. Powracam więc raz jeszcze do mojej zasady o zaufaniu do broni, i nikomu zdania mojego nienarzucam, ani go nienamawiam, by się pozbywał strzelby, do której przywykł, i z której dobrze strzela. Osobiste moje zapatrywania i przekonania nabyte tylko na polu praktyki myśliwskiej, śmiem przedłożyć czytelnikom „Łowca“. Jeden jeszcze dowód na poparcie mej zasady śmiem przedłożyć. Przekonałem się, o ile na znaczne odległości strzelając do zwierza w biegu, mniej potrzeba zakładać z iglicówki, niż np. z Lankastrówki lub Lefauchetki. Jeśli kto nie wierzy, niech raczy stanąć nad wodą i strzelić z Lankastrówki na wodę, a potem z iglicówki, przekona się o niesłychanej różnicy szybkości strzałów tych dwóch systemów po spadających na wodę śrótach. Gdyby więc z wynikłej polemiki zapowiedziany w „Łowcu“ turniej między tymi dwoma systemami mógł kiedyś przyjść do skutku, to po stronie szermierza broniącego systemu iglicowego gotów jestem stanąć zawsze ze stawką, choćby dziesięćkroć wyższą, niż tą. którą wojujące postawiły strony. Moje doświadczenie tyloletnie i ciągła, nieustająca praktyka ani chwili niedozwalają mi wątpić o rezultacie ostatecznym. *Leopold hr. Starzeński.*

KRONIKA.

Wydział gal. Tow. łow. otrzymał następujące pismo: L. 12 284. Nadleśniczy w Chrzanowie Hermann Wolty wniósł do c. k. Namiestnictwa prośbę o udzielenie pozwolenia na wybicie 6 sztuk starych kóz w przeciągu lat 3 z powodu, że kozy te jako stare są już niepłodne. C k. Namiestnictwo ma zaszczyt upraszać szanowny Wydział o udzielenie w tej mierze swej opinii, mianowicie, czy wybicie 6 kóz w czasie w prośbie wyrażonym nie wpłynęłoby szkodliwie na stosunki łowieckie tamtejszej okolicy.

Lwów dnia 9 Marca 1882 r. W zastępstwie: *Orlecki.*

Na zapytanie wyrażone w piśmie pod L. 12.284 Wys. c. k. Namiestnictwa mamy zaszczyt odpowiedzieć co następuje: Wybijanie kóz starych, jałowych jest niezbędnie potrzebnem już z tego powodu, że szpiczaki (młode rogacze) uganiając za niemi zbyt się wysilają, nie zaspokajając popędu płciowego. Wszelako rozpoznanie takich kóz jałowych wcale nie jest łatwem, i tylko może być przez fachowego, umiejętnie wykształconego leśnika-łowca dokonane. Jak długo wychowańcy naszej szkoły lasowej nie będą umiejętnie kształceni w łowiectwie, tak długo Wys. Władze administracyjne naszego kraju nie mogą i nie powinne zezwalać na wyjątkowe wykraczanie z Ustawy łowieckiej, nie ma bowiem żadnej rękojmi, że owo zezwolenie nie da powodu do nadużycia nader szkodliwego i demoralizującego, a przez Władzę approbowanego. Jako przykład niech służy niniejsza prośba, wniesiona do Wys. c. k. Namiest-

nictwa. Petent Hermann Wolty, nadleśniczy w Chrzanowie, majętności według Skorowidza Emanuela Loewenfelda prosi o udzielenie pozwolenia na „wybicie 6 starych kóz w przeciągu lat 3 z powodu, że kozy te jako stare są już niepłodne“. Komuż udzielić takiego pozwolenia, jeżeli nie nadleśniczemu, dbałemu widocznie o dobry stan zwierzyny w swoich rewirach. A jednak ów nadleśniczy zdradził w zacytowanym wyżej ustępie swej prośby nieznajomość elementarnych pojęć racyonalnego łowiectwa. Jeżeli ma 6 starych, jałowych kóz, czyż nie należy wybić je natychmiast, dla czegóż na to potrzeba aż lat trzech? Chyba w tym celu, aby w ciągu owych trzech lat można mieć oficyalne upoważnienie wybijania w razie potrzeby zwierzyny, którą Ustawa łowiecka słusznie ochrania. Po owych fatalnych trzech latach znowu się u niego pojawią jałowe kozy, uzyska nowe pozwolenie, i tak stanie się uprzywilejowanym kłusownikiem, a że przykłady są zaraźliwe, przeto złe rozszerzyćby się mogło. Według naszego przekonania Wysokie Władze nie powinne udzielać takiego pozwolenia, dokąd kraj nasz nie będzie miał fachowo wykształconych leśników-łowców, wyjątkowo chyba w takim razie mogą zezwolić, gdy będą miały niezawodną rękojmię, że łowiectwo w miejscowości wskazanej istotnie racyonalnie jest prowadzone, i że to zezwolenie nie da powodu do nadużyć i uprzywilejowanego bezprawia.

Lwów dnia 24 Marca 1882 r.

Z Wydziału gal. Towarzystwa łowieckiego.

Dr. *Michał Gnoiński.*

Podkamień, 6 Kwietnia.

U mnie słonek wcale nie ma, za to gęsi i Raczek krociami. Dziś odbywając inspekcyę nad stawem zabiłem z grobli dwa dzikie gęsiory, oba z iglicówki na odległość taką, że gdyby p. Weeber był widział te strzały, to byłby z pewnością dalszej polemiki przeciw iglicówkom zaniechał. Dodać muszę, że miałem ze sobą tylko ładunki na słonki, a jednak obydwa te tak twarde ptaki spadły na miejscu z odległości, której oznaczyć nie umiem, może na kroków 100, a pewnie nie mniej, jak 90. Owe dwa gęsiory padły od strzałów iglicówki Wiśniowieckiego, z którą wyprawę syryjską odbywałem. *Leopold hr. Starzeński*

Myszkowce, 5 Kwietnia 1882.

Turniej na strzały przyjmuję, a gdy pan Weeber chce we Lwowie — zgoda, i na to przystaję, prosiłbym jednak o wyjawienie zapowiedzianego warunku, który jest dla mnie zagadką, zresztą warunki najodpowiedniej ułożyć ustnie. Co do uwag moich przeciwników, zgodzić się na nie nie mogę. Pan Remiszewski twierdzi, że pomięszałem pojęcia utrzymując, iż lankastry i lefoszówki wychlastane biją miękko, i sądzi, że w strzelbie bez ladstoka wychlastanie luf nie ma żadnego znaczenia. Podobnym komplementem odwdzięczyć mu się nie mogę, aby się komu pojęcia pomieszały, trzeba je posiadać, kto zaś twierdzi, że bez stempla broń wystrzelać się nie może, ten pojęcia o rzeczy mieć nie może. Na dowód opowiem, co sam doświadczyłem. Miałem lefoszówkę, którą w przeciągu trzech lat tak wystrzelałem, że przybitka tekturowa, którą w pierwszym roku z wielką forsą zaledwie stemplem przez lufę mogłem przepchać, wpuszczona w trzecim roku przelatywała przez lufę sama na drugą stronę. Lufy były Bernarda kal. 16, strzelba strzelała słabo, posłałem ją więc do Werlika, a on przerobił ją na kal. 14, i potem już ostrzej biła. Później miałem lankastrówkę, wystrzelałem ją po trzech latach tak, że musiałem kazać dorobić inne lufy, bo wystrzelane nie zabijały zwierza na miejscu, a były za słabe, aby je na kal. 14 przerobić. Widziałem też u innych myśliwych wychlastane odtylcowe lufy. Następnie twierdzi p. R., że ostatecznie strzela dobrze lub źle tylko lufa, stawia tę zasadę jako niemylną i rzuca klątwę śmieszności na przeciwników tego twierdzenia. W tym względzie nie zgadzam się także z p. R., bo do dobrego strzału nie wystarcza dobra lufa, trzeba jej dać do pory roku, do temperatury, odpowiednią ilość prochu i śrótu, także odpowiednie przybitki, słowem zrobić nabój z całą znajomością rzeczy. Tyle w odpowiedzi panu R., a teraz muszę się rozprawić z panem Weeberem. Wątpi on, iż Panowie, których, jak twierdzi, imionami hojnie szafuję, może równie gorliwie nie zechcą bronić sprawy Teschnerówek. Napisałem w mojej korespondencyi i dziś powtarzam, że cytowani przezemnie znakomici myśliwi i strzelcy innej broni nie używają, jak Teschnerówek, a przecież nikt nie używa broni, do której nie ma zaufania, dodam jeszcze, że na polowaniach jesiennych w Olejowie u hr. Kaz. Wodzickiego na kilkunastu doborowych myśliwych z różnych okolic kraju zaledwie parę lankastrówek spotkać można. Zresztą nie wymieniałbym nazwiska, gdybym nie znał zdania tych Panów w owej sprawie. Mógłbym zacytować jeszcze kilkunastu znakomitych myśliwych, którzy w dobroć Teschnerówek wierzą. Wierzą w nie też Amerykanie, w tym roku bowiem sprzedano 400 strzelb tego systemu do Ameryki. Pan W. twierdzi, że historya o talerzu przezemnie opisana niczego nie dowodzi, według mego jednak przekonania każdy bezstronny przyzna, że jest ona silnem poparciem mego twierdzenia. Najłatwiej to negować, że ś. p. Al. Strzelecki był miernym strzelcem, wojować ironią, a niezbijać słowem, dosadnością argumentów lub dowodzić czynem. Nakoniec kilka słów, o Teschnerówkach. Zgadzają się w tem znawcy systemów broni (Wagner, Neumann, Helfert), że broń niemająca karba w gnieździe patronowem, strzela lepiej jak inne. Aby osiągnąć strzał dobry na daleką odległość, pisze Emil Regener w dziele wydanem w Potsdamie u Döringa: „Mit der kartetschenladung wird unglaubliches geleistet, man schiesst bis 80 und über 80 Schritt die Hasen unterm Feuer zusammen. Zur Anfertigung der Kartetschen klebt man eine Papierhülse aus festem Papier, die gerade den Lauf ausfüllt“ — i opisuje sposób robienia kartacza. Następnie Otto Hamerer z Augsburga wyrabia Einsatzpatronen für Lefaucheux und Lancaster, które są po prostu nabojem śrótu zaklejonym w rurce papierowej. Nakoniec Nerlich w Bielsku wyrabia koncentratory, w których śrót jest opleciony w siatkę z drutu. Otóż te usiłowania utrzymania przy strzale śrótu w kupie świadczą, że strzelby z nabojami tekturowymi rozrzucają śrót szczególnie gruby, Teschner zaś robiąc naboje papierowe zaklejone u końca, osiągnął ten sam skutek, do którego wyżej wymienieni swymi wynalazkami zdążali. Zdania tych Panów i wieloletnia praktyka moja i wielu moich towarzyszów myśliwych przekonały mnie o dobroci strzelby Teschnera, a że p. Weeber nazywa to nieuzasadnionem umiłowaniem systemu, więc niech mi pozwoli powiedzieć, że uważam ów zarzut jego jako wcale nieuzasadniony, a zdanie jego osobiste jako mylne. Że systemu nie bronię dla miłości Niemca, ani za pieniądze, sądzę, że i pan Weeber, lubo nie należy do łatwowiernych, uwierzy mi nie żądając na to przysięgi. *Teofil Żurowski.*

Lwów, 21 Kwietnia.

Odpowiadam panu Remiszewskiemu na słuszne wytknięcie sprzeczności w mojej rozprawie. Dla czego lufy lutowane na cynę wypadały fabrykantom początkowo drożej od luf lutowanych na mosiądz, których koszta wyrobu ze względu na większą ilość doborowego paliwa powinne być większe? Tłumaczę się tem, że przysposobienie luf do lutowania na cynę, wymagało początkowo nierównie więcej roboty ręcznej. Dopasowanie luf do siebie i obu szyn, spodniej i wierzchniej, musi tu być tak dokładne i szczelne, iż sama siła adhezyi potęguje spójność cyny, przeciwnie zaś przy mosiądzu nierówności i szczeliny dopasowania wychodzą z rachunku. Późniejsze zastosowanie roboty maszynowej wyrównały już cenę obu rodzajów tych spojeń, a Pieper usunął je zupełnie.

L. Weeber.

W numerze 4tym „Łowca“ wyczytałem ciekawe opowiadanie pana S. Larysz Niedzielskiego o zabitej srokatej wronie. „Dziwi mnie, iż ten rzadki egzemplarz skazany jest wieść mumiowy swój żywot samotnie lub zapewne w nielicznem towarzystwie, zdaje mi się, iż o wiele korzystniej byłoby umieścić go w Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie, gdzie jego dostojny właściciel tak skrzętnie zbiór swój krajowi ofiarowany pomnaża. Zresztą oddaję tę sprawę rozwadze samego posiadacza owej wypchanej, niezwykłej wrony, nie wątpię, że przychyli się do mego zdania, czego dla powszechnego dobra najszczerzej pragnę.

W. M. gorliwy czytelnik „Łowca“
i członek Tow. łow.

Do młodej panienki po wpisaniu się jej do Tow. łow.

Już marzysz o krwawej pogoni,
Gdy Twoje pląsają rówieśnie;
Za słaby ten oszczep w Twej dłoni,
Zawcześnie pierwiosnku, zawcześnie!

Unikaj krwawego widoku,
Co serce rozrani boleśnie,
O nietrać dziewczęcia uroku,
Zawcześnie kwiateczku, zawcześnie!

Ty marzysz, że w puszczy głęboko
Potwory ukorzą się leśne,
Gdy czarem zabłyśnie Twe oko,
Zawcześnie mój kwiatku, zawcześnie,

Poigraj z wianuszkiem różanym,
Gdy masz się zaledwie ku wieśnie,
Bo łowczym zabawić się tanem
Zawcześnie aniołku, zawcześnie!

A....... z S...... K.. ....

Udaje się do świet. Wydziału Tow. łow. z prośbą o poparcie i wyjednanie poszanowania obowiązującej Ustawy w wypadku, o którym c. k. Starostwu w Mościskach doniosłem.

Krysowice d. 12 Kwietnia 1882. *Stanisław hr. Stadnicki.*

Kopia. Do Świetnego c. k. Starostwa w Mościskach. Uważam za obowiązek jako członek gal. Tow. łow. i jako dbały o podniesienie stanu zwierzyny donieść św. c. k. Starostwu jako Władzy dotyczącej o fakcie zaszłym w dniu 12tym Lutego 1882 roku przekraczającym Ustawę z dnia 30 Stycznia 1875 roku. W dniu wyżej przytoczonym odbyło się polowanie na zające z nagonką w lesie Czerniawskim, własności hr. Eugeniusza Cetnera, w którem udział wzięli: Adam Jezierski, dependent notaryalny z Mościsk, Kolankowski, c. k. adjunkt sądowy z Przemyśla i Józef Ostosiński, leśniczy hr. Cetnera. Rezultatem tego polowania były dwa ubite zające. Podając nagi fakt niedający się zaprzeczyć do wiadomości św. c. k. Starostwa w Mościskach, proszę o ukaranie winnych w myśl ustawy, przyczem ośmielam się powołać na ostatni Okólnik Wysokiego c. k. Namiestnictwa z d. 5 Września 1881 do L. 14.572.

Krysowice d. 13 Marca 1882. *Stanisław Stadnicki.*

Mądzielówka 5 Marca.

W numerze 3cim „Łowca" czytałem artykuł o chorobach psów i ich leczeniu, a przeważnie o nosaciźnie i chorobie psiej. Nie mając wcale zamiaru wszczynać polemiki, pragnę tylko udzielić czytelnikom rezultaty moich własnych w tym względzie doświadczeń. Nie chcę dotykać skuteczności pigułek, zalecanych i wyrabianych przez autora tego artykułu, ani też głównej treści jego wywodu. W piśmie sz. p. K. Hostońskiego znajdujemy naprzód twierdzenie, że nosacizna i choroba psia, zwana także zarazą psią, nie są jedną i tą samą chorobą, następnie drugie nader śmiałe, że wścieklizna psia jedynie w skutek nosacizny się rozwija. Pierwsze twierdzenie, choć się z niem nie godzę, jako dla naszych piesków nieszkodliwe, nie wywołałoby mojej odpowiedzi, bo kto podaje niezawodny środek przeciw obu chorobom, może utrzymywać, że one nie są jedną i tą samą. Drugie jednak twierdzenie wielce zagraża rodowi psiemu, jestem bowiem przekonany, że każdy, kto w nie uwierzy, przy pierwszych objawach nosacizny u psa swego, nie zechce wyczekiwać stwierdzenia, ażali z niej wywiąże się wścieklizna, i zapisze swemu pacyentowi zamiast pigułek p. Hostońskiego raczej pigułki z ołowiu. Od lat wielu poluję z chartami i z wyżłem, straciłem wiele doskonałych wyżłów, układanych mozolnie, i bardzo rączych chartów w skutek nosacizny, a bardzo mało, bo tylko dwa w skutek wścieklizny. Rozwinęła się wścieklizna samoistnie tylko u jednego półtoraroczknego charta, na którego zaloty charcica, matka jego, była głuchą, drugi wyżeł skaleczony był przez psa wściekłego przybłędę, z którym się żarł. Pozwolę sobie przy tej sposobności opowiedzieć dwa wydarzenia, z których możnaby wnioskować, że wyżły mają dar przyrodzony rozpoznawania psów wściekłych. Mały wyżeł angielski, wcale spokojnego usposobienia i niezbyt silny, zażarł w moich oczach dość dużego kundla wściekłego, który kilka chwil przedtem pogryzł prosię za częstokołem mego sadu, i pokąsał córkę mego dozorcy, broniącą owo prosie. Dziewczynę odesłałem natychmiast do Mużyłowa, do chłopa leczącego wściekliznę, do dziś ona zdrowa, a prosię po kilku tygodniach się wściekło. W drugim wypadku znów spokojny wyżeł angielski, leżący pod schodami w przedsieni kuchni, porwał się naraz i z niesłychaną zjadliwością rzucił się na psa przybłędę, wchodzącego w przedsionek. Zanim zauważano walkę, już przybłęda legł bez życia. Sprawdzono potem, iż pieś ów pokąsał psy wiejskie, było też kilka wypadków wścieklizny. Uważałem też, że nosacizna występuje epidemicznie, i wtedy mało którego psa oszczędza. Starsze psy, dobrze żywione, dużo ruchu mające, w suchych miejscach nocujące mniej podlegają tej chorobie. Uważam nosaciznę jako słabość nerwowo-kataralną całego organizmu, środka radykalnego na nią nie znam żadnego, pomimo tego od lat ośmiu żaden pies nie zginął u mnie, a leczyłem tę chorobę w sposób następny: suchy pokój, ogrzany najwyżej do 12 st. R., wygodne posłanie, w początkach środek na wymioty, przy rozwolnieniu częste lewatywy z odwaru kory dębowej, w przeciwnym razie z wody mydlanej, oczyszczanie pilne nosa i oczów letnią wodą, oprócz mleka letniego, stanowiącego jedyny pokarm chorego, dawałem raz na dzień łyżkę stołową silnego odwaru czarnej kawy, a najbardziej strzegłem od przeziębienia, a pies w czasie choroby nigdy nie opuszczał pokoju, który skrapiałem wodą karbolową. W obu wypadkach, czy to nerwy były więcej zatakowane, czy błony śluzowe, osięgałem pomyślne rezultaty. Na tejto zapewne podstawie widzi p. Hostoński dwie odrębne choroby, nie wspominając wcale o epidemiczności nosacizny. Jeżeli środek p. Hostońskiego jest radykalnym, o czem wątpić mi nie wolno, to pozwolę sobie nadmienić, że środek ten byłby radykalniejszym, gdyby sz. autor był polecił suchy, ciepły pokój lub takąż komórkę z wygodnem, suchem, czystem posłaniem i polecił chronienie pacyenta od zaziębienia. W przeciwnym razie może go silna konstytucya i zmysł jego zachowawczy ocalić zwłaszcza przy pomocy pigułek, ale to pewne, że nie każdy wyzdrowieje lub wyzdrowieje z złemi następstwami: utratą węchu, drgawką, na co zapewne sz. autor się zgodzi. Co do drugiego twierdzenia p. Hostońskiego, że wścieklizna jedynie w skutek nosacizny się rozwija, to tego ani moje doświadczenie, ani kompetentniejszych odemnie, najznakomitszych weterynarzów nie stwierdza. W rzadkich wypadkach może się wytworzyć wścieklizna z nosacizny, ale nie jako konieczne następstwo. W takim razie musiałby pies ukąszony przez wściekłego dostać naprzód nosacizny, albo też musiałyby pigułki p. Hostońskiego być radykalnym środkiem przeciw wściekliźnie, czego przecież przypuszczać nie można. *J. K.*

W rewirze Lisowickim ubito w tym roku: dzików 9, rogaczy 50 lisów 28, kun 4, zajęcy 51, cietrzewi 3, jarząbków 33, słonek 11, sów uralskich 4, — razem sztuk 193. *S.*

Kamienna, 2 Kwietnia.

Już w kilku numerach „Łowca" spotykam się z polemiką co do dobroci strzelb, a właściwie przewagi jednego systemu nad drugim, proszę mi pozwolić i moje trzy grosze dodać. Daleki jestem od tego, bym niesłusznie ganił jeden system, a niesprawiedliwie podnosił drugi, bo wedle mego przekonania jest to tylko rzecz gustu, wyjąwszy naturalnie systemy, które jako niepraktyczne, a nawet szkodliwe, wyszły zupełnie z używania. Jeden lubi strzelbę z kurkami, drugi bez nich, ten Teschnerówkę, ów Lankastrówkę, nie widzę wszakże powodu, dla czego amator jednego systemu miałby już ryczałtem potępiać strzelby innych systemów zwłaszcza co do ostrości i gęstości strzałów. Poluję już od lat wielu z bronią różnych systemów, widziałem strzelby złe i dobre każdego systemu, nie znam przeto systemu, w którymby się i złe strzelby nie zdarzyły. Przyznaję Teschnerówkom zaletę donioślości i gęstości strzału, nie pozwolę jednak ubliżyć Lankastrówkom, jak to czyni pan Żurowski wyrażając się o nich z lekceważeniem, widziałem bowiem już nie jedną z nich, i sam używam Lankastrówki, w szerszem kole myśliwych z niepospolitych zalet znanej, mogę przeto zaręczyć panu Żurowskiemu, że nie tylko na 60, ale nawet na 120 łokci śrót z niej od porcelany nie odpadnie, a nadto ośmielę się dodać, iż drzewko takiej grubości, jakie wypróbowana Lankastrówka jednym strzałem zetnie, mało która Teschnerówka tego dokaże. Z niecierpliwością przeto wyczekuję rezultatu projektowanej próby różnych systemów broni, w której zapewne panowie w niej udział biorący się przekonają, że w każdym systemie są dobre i złe strzelby *G. Głuchowski.*

P. R. Szanowny korespondent zapomina, że przedmiotem polemiki nie była dobroć względna strzelb, bo ta ostatecznie tylko od dobroci lufy i od dobrych ładunków zależy, lecz rozchodzi się głównie o wytknięte wadliwości w konstrukcyi Teschnerówek, a wadliwości tak ważne, iż one przeważają wszelkie inne zalety. Zarzucono mianowicie Teschnerówkom dosyć częsty samowolny wybuch naboju mimo prawidłowego ustawienia w nich przyrządu asekuracyjnego, podniesiono ową wadę organiczną, którą usunąć można tylko zupełną zmianą systemu. Donioślość i gęstość strzału jest inną sprawą, wcale niezawisłą od systemu. Redakcya przechyla się ku przeciwnikom systemu Teschnera, znane jej bowiem są samowolne wybuchy nabojów u Teschnerówek, które przy innych kurkowych systemach, w prawidłowych warunkach, nigdy się nie wydarzają.

Wykaz

w ciągu r. 1881. ubitej zwierzyny w obrębie dóbr państwowych w Galicyi bez uwzględnienia wyniku łowów w okręgach wydzierżawionych.

W obrębie państwa	Zwierz drapieżny i sakodliwy								Zwierzyna użyteczna									
	niedźwied.	wilki	rysie	lisy	kuny	wydry	dziki	Razem	jelenie	rogacze	zające	głuszce	cietrzewie	jarząbki	kuropatw.	słonki	kaczki	Razem
Kuty . . .	.	11	.	10	1	1	6	29	.	33	50	3	4	39	.	7	.	136
Peczyniżyn	.	1	.	11	1	1	5	19	.	20	25	.	.	4	1	.	.	50
Delatyn . .	.	2	.	6		1	1	10	.	19	25	.	.	4	1	1	.	50
Kałusz . .		.	.	13	2	1	7	23	1	23	38	.	.	1	.		.	63
Dolina .	1	.	.	16	1	.	26	44	.	31	22	.	.	39	.	1	.	93
Bolechów .		1	.	.	.	.	9	10	.	5	.	.	.	1	.	.	.	6
Drohobycz	.	.	.	10	.	1	15	26	.	15	28			6	.	3	.	52
Dobromil .	.	6	1	1	3	3	3	17	.	29	3	.	.	8	.	2	.	42
Niepołomice	.	.	.	11	1	.	.	12		62	149	.	.	.	81	7	14	313
Razem	1	21	1	78	9	8	72	190	1	237	340	3	4	102	83	21	14	805

Z nad Sanu.

Niezwykle łagodna tegoroczna zima każe nam mieć nadzieję, że zwierzostan w naszych stronach w tym roku w ilości i jakości znacznie się powiększy. Październikowy śnieg, jeżeli nie zginął zupełnie, to później już nie urósł do tego stopnia, iżby utrudnił żerowanie płowej zwierzynie. W tym roku jelenie wbrew swemu zwyczajowi przebywały przez całą zimę, w galicyjskiej części Beskidów, zwykle przenoszą się na zimę w węgierską stronę. W lasach Wetlińskich znajdują się dwa stada, w jednem ma być 8 sztuk, w drugiem 5. Naoczny, wiarogodny świadek opowiadał mi, że w Lutym dążąc pieszo ścieżką do Węgier, widział z oddalenia kilkunastu kroków przemykające stado jeleni, z których wszystkie, nie wyjmując cieląt, wyglądały bardzo dobrze, według przypowieści jakby utoczone. Można się przeto spodziewać, że tegoroczne rykowisko będzie wczesne, może już w Sierpniu, gęste i głośne co do poryków i świetne w rezultatach, bo pomnoży stada zdrowym i silnym przybytkiem, co nie dzieje się po ciężkiej zimie, gdyż bekanie się opóźnia, a zbiedzone w zimie łanie jałowieją. — Dla sarn, których u nas dosyć, była tegoroczna zima również korzystną, wyszły z niej silne i zdrowe. Nie zchodziły one także, jak zwykle, na niższe działy lub na młaki nadsanowe, porośnięte łoziną, w celu żywienia się ich pędami, bo nie czuły tego potrzeby. Przez całą zimę przebywały w górnych działach, niemało znajdując tam żeru na ziemi niepokrytej śniegiem, lub też w ostępach podszytych młodą buczyną. Jest więc usprawiedliwiona nadzieja, że nie pojawi się u was tak częsta, u nas rzadka choroba motylica, wynikająca z stałego żerowania na młakach czyli moczarach, gdzie napół zgniła trawa lub takież zioła głównie przyczyniają się do wytworzenia tej choroby u zwierząt przeżuwających. Jednem słowem zima tegoroczna była nader łaskawą dla wszelkiej zwierzyny prócz niedźwiedzi, dla nich bowiem zima śnieżna, mroźna, stała, bez częstych odmian, jest pożądańszą. Jak wiadomo, niedźwiedź zasypia wraz z pojawieniem się zimy, budzi się najczęściej dopiero w połowie Lutego, raczej w porze, gdy powietrze się ociepli. Im dłuższą zima, tem sen niedźwiedzi twardszy i trwalszy, mniej przerywany. Ubiegła zima ani śnieżna, ani mroźna, zabójczą była dla niedźwiedzi, prawie wcale nie gawrowały, budząc się co dni kilka. Chłopi specyaliści w wynajdywaniu gawrów, w tym roku ani jednej nie wykryli, bo niedźwiedzie nie gawrowały stale, lecz przespawszy się byle gdzie, zbudzone odwilżą ruszyły szukając żeru. Ubito jednego włóczącego się za żerem w połowie Stycznia, chudy był jak szczapa, a zwykle bywa on o tej porze dosyć sadlistym. *L.*

Hr. Kazim. Wodzicki zarzuca mi w poprzednim numerze „Łowca“, iż błędnie nazwałem drozda *Spottvogel*, a tem samem, że nie on, lecz gajospiew szczebiotliwy, umie naśladować głosy. Nie jestem ornitologiem, chętnie poddaję się orzeczeniu tak znakomitego badacza przyrody, jakim jest hr. Wodzicki, jednakowoż ośmielam się twierdzić stanowczo, iż istotnie Niemcy nadali spiewającemu drozdowi miano *Spottvogel*, i słusznie, bo posiada on dar naśladowania czyli raczej przedrzeźniania spiewu innych ptaków. Właściwość tę mają i inne ptaki, jak kosy, kanarki, dzierlatki, czyże, a nawet gil. Twierdzenia moje opieram zawsze i w tym też razie nie na teoryi, lecz na własnem doświadczeniu. Dawniej miewałem u siebie wiele skrzydlatych spiewaków, między nimi kanarka, który wcale udatnie naśladował niektóre tony spiewu słowika, trzymanego w klatce w sąsiedztwie, po umilknieniu jednak tego uroczego spiewaka w rok wyszły mu owe tony z pamięci. Gil stary, przez ośm lat trzymany w niewoli, bardzo oswojony, usiłował naśladować głos kanarka, pociesznie się droczył z nim, rozpoczynając jego trele swym cichym i grubym basem, wyzywając swego współzawodnika do gniewu, miotania się w klatce i wysilań w spiewie, którym starał się przygłuszyć niezręcznego naśladowcę. W ogóle niejeden ptak naśladuje mniej lub więcej udatnie głosy pozytywki lub innego instrumentu muzycznego, innych ptaków, zwierząt czworonożnych, a nawet ludzi, jak to widzimy u szpaków, papug i t. p. Drozd najwięcej może posiada daru naśladowania spiewu innych ptaków, najbardziej pociągającym jest dla niego spiew słowika. Drozdów, jak wiadomo, jest kilka gatunków, drozd kwiczoł, drozd paszkot nie spiewają wcale, pierwszy wydaje z siebie głos urywany, kwiczący, ztąd jego nazwa; drugi odzywa się głosem podobnym do skrzeczenia sroki, zwłaszcza zrywając się gromadnie hałasują i szwargocą, toż zowią ich niekiedy „szwargotami“. Następnie drozd kos, komuż nieznany jego przymiot naśladowania głosów. W końcu idzie właściwy drozd spiewak w kilku odmianach, z których każda posiada właściwość naśladowania czyli raczej przedrzeźniania tonów zwłaszcza słowiczych. Takich przedrzeźniaczów spiewu słowika słyszałem wiele w głębokich górach Sanockich, mieszkając w przysiołku K., w pobliżu Kalwaryi Pacławskiej, położonej w górach, otoczonej szerokiem pasmem lasów jodłowych. Mieszkanie moje leżało u skraja owego lasu. Przy samym ogrodzie znajdował się mały krąglak gęstej jedliny, w środku zaś jej była grupa starych, bardzo wyniosłych jodeł. Z początkiem wiosny usłała sobie para drozdów gniazdo na jednej z nich z uschłym szczytem, na którym codziennie o wschodzie słońca drozd samiec siadał i spiewał swym przyrodzonym głosem. Około 11tej przed południem przestawał spiewać, a po 4tej po południu poczynał w cieniu młodej jodełki wcale udatnie naśladować głos słowiczy. Był u mnie podówczas kuzyn mój wychowany w mieście, i dziwił się, że w miesiącu Maju, w okolicy leśnej słowików nie słychać. Wyjaśniałem, że w lasach szpilkowych słowik nie przebywa, ale on słowom moim nie wierzył, i upierał się przy swem twierdzeniu, że i tu słowik spiewać może, a nawet stanął między nami zakład. Wnet usłyszał kuzyn spiew owego drozda, z tryumfem przeto upominał się o stawkę zakładu. Naprożno przedstawiam, że to spiew drozda, nie słowika, nareszcie dla naocznego przekonania się przedzieramy się ile możności cicho przez gąszcz i podchodzimy blisko ku spiewającemu ptakowi. Z powodu gęstwiny nie można go było dojrzeć, więc klasnąłem w dłonie, ptak zerwał się, uleciał w pobliże, i znowu chrypliwym głosem począł przedrzeźniać słowika. Przekonał się niewierny Tomasz, a ja mu zacytowałem staropolskie przysłowie:

Drozd udający słowika
Zwiedzie fryca — nie ptasznika!

Na takich doświadczeniach własnych opieram twierdzenie, że nasz drozd spiewak istotnie naśladuje głosy innych ptaków, a szczególnie słowika, i że jego to nazwali Niemcy słusznie *Spottvogel*. *A. Ubysz.*

Na dowód, iż kruki, wrony i sroki nader szkodliwe są dla drobnej zwierzyny, przytaczamy, iż w Muzeum im. Dzieduszyckich znaleziono d. 17 Kwietnia b. r. w żołądku młodego kruka całego zajączka. Ptaki te uważamy za drapieżniejsze od jastrzębi, o ile że szukają nieustannie żeru po ziemi, i nie są niestety tak prześladowane, jak tamte. Idźmy za przykładem racyonalnego łowiectwa za granicą, które bezlitośnie tępi te ptaki, i z tego powodu ma tak wielką liczbę zajęcy i kuropatw. U hr. Artura Potockiego w Krzeszowicach, u hr. Antoniego Wodzickiego w Kościelcu naznaczone jest strzałowe za ubicie każdego z tych ptaków, dla tego mają oni u siebie nader wiele zajęcy i kuropatw, a możemy zapewnić, że gospodarstwo rolne nic na tem u nich nie cierpi. Wiadomo, jak kruk jest ostrożnym, jak trudny do niego strzał, najodpowiedniej przeto prześladować go na gnieździe, a właśnie teraz najlepsza do tego pora.

W Szerzynach (poczta Biecz) można u leśniczego dworskiego, Michała Porzymskiego, zamawiać każdego czasu szczenięta, wyżły czystej angielskiej rasy „Pointer“ po rodzicach sławnych z myśliwskich przymiotów. *J.*

W Maju nie wolno według naszej Ustawy polować na żadną zwierzynę, wyjąwszy na cietrzewie i głuszce do połowy tego miesiąca, jestto bowiem pora lęgu.

Nowego pomysłu grzechotki dla nagonki są do nabycia u Sekretarza Tow. łow. Grzechotki te są małe w kształcie kastaniet, nader donośne i bardzo praktyczne. Cena jednej grzechotki 18 centów.

Na nagrobek dla T. Wiśniowieckiego złożyli: Cielecki Włodzimierz 5 złr., Godlewski Józef 1 złr., Kozłowiecki Czesław 5 złr., Obertyński Zdzisław 1 złr., Polanowski Stanisław 5 złr. — Razem 17 złr.

TELEGRAM.

W Szepetówce i Hulance przy najpiękniejszej pogodzie padło w jednym poranku 20 głuszców, z których ja zabiłem 11, hr. Artur Potocki 9. *Roman hr. Potocki.*

OGŁOSZENIA.

Otrzymaliśmy debit dla „Łowca“ do cesarstwa rosyjskiego, upraszamy przeto odnosić się z prenumemeratą wprost do Redakcyi drogą pocztową z dołączeniem rocznej należytości ***5 Rsr.*** i podaniem dokładnego adresu.

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.